

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
ROK 19 - TOM II - NR. 17

WARSZAWA 10 GRUDNIA 1934 R.



NA „GWIEZDZIE POLARNEJ”

W porcie władzywostockim zaczynało świtać. Przy długich, kamiennych wybrzeżach tkwiły głęboko w brudnej wodzie czarne kadłuby okrętów, wyrzucających z pękających kominów kłęby dymu. Stał się on ciężkim obłokiem na obszernych zabudowaniach portowych, rysujących się w mlecznym mroku wschodzącego dnia.

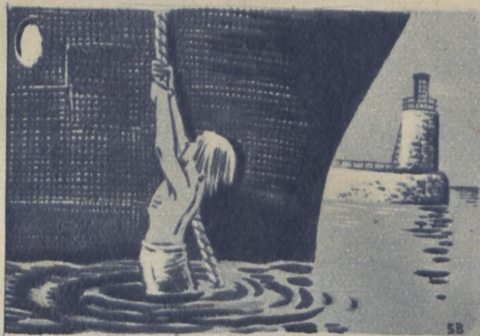
Mimo wczesnej godziny, życie w porcie kipiało żywym tętnem. Z obszernych magazynów, oświetlonych wewnątrz jasnymi snopami lamp elektrycznych, wysuwały się szeregi małych wózków, naładowanych aż po brzegi worami i skrzyniami, i chrzęszcząc żelaziem mknęły po wąskich szynach na wybrzeże. Tu czekali już na nie ludzie. Opróżniali szybko wózki, skrzynie zaś i wory składali w olbrzymie sieci, zrobione z grubych powrozów. Dźwigi okrętowe chwyciły te sieci na haki, podnosiły wolno w górę, zataczały i z rozgłośnym warkotem rozwijających się lin stalowych spuszczały je na dół, w pękate wnętrze okrętowych komór.

Pracy tej towarzyszył zgiełk nieopisany. Co chwila słychać było ostre gwizdki komendy, zgrzyt łańcuchów i kół zębanych, warkot lin nawijanych na kołowroty, wołania ludzi, basowy ryk syren okrętowych i przenikliwy wrzask piszczałek małych holowników¹⁾.

Wśród stosu porzuconych na uboczu pustych skrzyń, stał cztertnastoletni chłopak i bacznie spoglądał na czarne cielsko okrętu, który na wysokim dziobie miał mocno wypęły napis: „Gwiazda Polarna”.

Chłopak musiał być bardzo biedny, gdyż ubranie jego składało się z łachmanów, z pod których wyzierało zsiniałe od chłodu ciało. Drobna, energiczna twarz otaczała wiecha płowych włosów, które swym nieładem wskazywały, iż

1) Holowniki — okręciki, używane do ciągnięcia barek ciężarowych (jak lokomotywa — do wagonów).



właściciel ich dawno nie używał grzebienia... Z pod tej płowej czupryny, zasłaniającej zupełnie czoło i brwi, patrzyło dwoje ciemnych oczu z wyrazem niezmiernego przemęczenia, nad którym górowała jednak podejrzliwość, połączona z łobuzerstwem.

Drobne, kształtnie zarysowane usta krzywiły się lekko ironicznym uśmiechem, gdy patrzył na czerwoną banderę z pięć-ramienną gwiazdą, ujętą między sierp i młot, łopoczącą na rufie¹⁾ „Gwiazdy Polarnej”.

Wzrok chłopca zeszliźnął się z bandery na tylny pokład, oglądając dokładnie każdy szczegół. Nagle pochylił się naprzód i wpił wzrok w długą linę, która zwisając z pokładu, tonęła w brudnej, zaoliwionej wodzie portowego basenu.

Lina ta zdawała się chłopca hipnotyzować. Nie mógł poprostu oderwać od niej wzroku, w którym coraz jaśniej występowało jakieś postanowienie. Wreszcie szybko obejrzał się wokoło, jakby chcąc zbadać położenie. Ranek zapowiadał się dość mglisto, przeto tylna część okrętu tonęła w półmroku, tembardziej, że reflektory okrętowe skierowane były na przedni pokład, gdzie wrzała praca. Kończono ładowanie towarów.

Chłopak przesunął się między skrzyniami aż na brzeg i zmierzył wzrokiem przestrzeń, dzielącą go od luźno zwisa-

1) Rufa — tył okrętu.

jącej liny. Zrzucił z siebie podartą bluzę, przeżegnał się, jak wąż ześliznął po kamieniach i bez najmniejszego plusku zanurzył się w wodę. Widząc, iż niewielka łódź motorowa płynie od strony morza ku niemu, dał głębokiego nura i ile sił w ramionach począł płynąć pod wodą.

Nagle ręka jego dotknęła jakiegoś przedmiotu. Obmacał go uważnie i z radością stwierdził, iż była to śruba okrętowa. Z największą ostrożnością wychylił teraz głowę z wody i rozejrzał się wokoło. Nie ulegało wątpliwości, iż znajdował się przy rufie „Gwiazdy Polarnej”. Począł teraz szukać wzrokiem liny. Znalazł ją i wnet popłynął ku niej, wychylając z wody tylko oczy, nos i usta. Chwyciwszy linę oburącz, chłopak podniósł się i ze zręcznością małpy wspiął się po niej w górę, aż do tylnej barjery. Na rufie okrętu nie było nikogo, to też chłopak jednym susem przesadził barjerę, przebiegł przez pokład i skrył się w otworze dużego iluminatora¹⁾.

Teraz dopiero poczuł przenikliwy chłód i dziwną ociężałość w członkach. Byłby napewno zsunął się iluminatorem wdół, gdyby bosa stopy nie natrafiły na dwie żelazne poprzeczki, na których usiadł wygodnie. Zmęczenie było tak silne, że mimo chłodu zasnął. Zdawało mu się jeszcze, iż słyszy przeraźliwy ryk syreny i warkot maszyn wyciągających łańcuchy kotwiczne, ale głosy wydały się jakieś dalekie i zupełnie niezeczywiste.

Obudziło go wreszcie dojmujące zimno. Wszystkie członki miał tak skostniałe, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Z niezmiernym trudem jął rozcierać ręce, a potem nogi. Sprawiało mu to niewymowny ból.

Po długich, długich wysiłkach, rozgrzał na tyle ciało, iż mógł dźwignąć się w górę i popatrzeć przez otwór iluminatora. Było zupełnie ciemno, tylko na

pokładzie tu i tam jaśniały światła lamp. Okręt kołysał się miarowo na czarnych falach, skrzypiąc jednostajnie olinowaniem.

Chłopak wygramolił się z kryjówki i zeskoczył na pokład. Zesztywniałe nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała, to też przez długą chwilę leżał na deskach smagany zimnym wiatrem. Odczuwał jeszcze silne zmęczenie, ale nadewszystko głód i pragnienie. Zwlókł się więc z miejsca i przewyciężając zdrtwienie nóg, począł powoli pętać ku dolnemu pokładowi, skąd dochodziły wesołe tony ręcznej harmonji. Nie zdążył jednak zrobić kilkudziesięciu kroków, gdy od strony kapitańskiego mostu rozległy się ciężkie kroki kilku osób. Przypadł więc do pierwszych lepszych drzwi, otworzył je i zsunął się po schodach wiodących wdół, w czysty, ciepły korytarz, oświetlony jasno półkolistymi lampami. Słyszac zbliżające się z bocznego korytarza kroki, szybko otworzył najbliższe drzwi. Stał, jak wryty.

Znajdował się w czystutkiej, małej kajucie, w której na szerokim, skórzanym fotelu siedziała drobna dziewczynka, mogąca mieć najwyżej trzynaście lat. Dziewczynka przeglądała właśnie książkę z obrazkami, ale na skrzyp drzwi podniosła oczy i z przestrachu głos zamarł jej w gardle.

A rzeczywiście było czego się przestraszyć. Chłopak był przecież na pół nagi, wysmarowany na piersiach, rękach i twarzy oliwą i kurzem z iluminatora. Płowa czupryna zjeżyła się, jak źle poszyta strzecha. Tylko w oczach zaczer-



¹⁾ Iluminator — okienko, przez które światło dochodzi pod pokład.



wienionych zmęczeniem widać było błyski zdumienia i jakby oczarowania widokiem, jaki miał przed sobą.

Dziewczynka szybko zapanowała nad strachem i głosem, który miał być niezmiernie groźnym, zapytała:

— Ktoś ty? Pocoś tu przyszedł?

— Jestem Lisowski, Władek Lisowski, — odparł chłopak z trudem, gdyż w tej chwili wzrok jego padł na tacę pełną ciastek.

Dziewczyna spostrzegła to natychmiast.

— Głodny jesteś pewno — zapytała.

— O tak! Już cztery dni nie jadłem.

— To w kuchni nie dali ci jeść? — zapytała z niedowierzaniem.

— Jadę bez biletu. Zakradłem się na okręt i skryłem w iluminatorze...

— Więc cztery dni już nie jadłeś?

— Tak, a może pięć... nie pamiętam już dokładnie...

— I żyjesz jeszcze? — zdziwiła się dziewczyna, która po pierwszym przestraszeniu nabrała jakiegoś zaufania do tego wynędzniałego chłopca.

Władek uśmiechnął się blado, lecz mimo wysiłku nie mógł oderwać oczu od tacy.

— Masz, jedz! Ale powoli, bo może ci zaszkodzić. Tatusi mówił, że nigdy po długim poście nie należy jeść wiele. To może zabić najsilniejszego człowieka.

Ale chłopak nie słyszał ostrzeżenia. Ciastka zniknęły w jego ustach, jakby kto wsypywał je do worka. W miarę opróżniania się tacy, oczy Władka stawały się weselsze, pojawiły się w nich nawet łobuzerskie ogniki.

Dziewczynka tymczasem wyszła do drugiej kajuty i za chwilę powróciła z filiżanką gorącej herbaty, którą z wymownym gestem postawiła przed chłopcem.

Oczy dziewczęcia śmiały się przyjaźnie, gdy patrzyła, z jakim pośpiechem pił gorący napój. Starła się jednak zachować minę bardzo poważną. Widać było, że ważyła coś w swej małej główce, bo nagle zapytała:

— A gdzie masz rodziców?

Władek spojrzał na nią z jakimś głębokim wyrzutem i odparł:

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz? — spytała zdumiona.

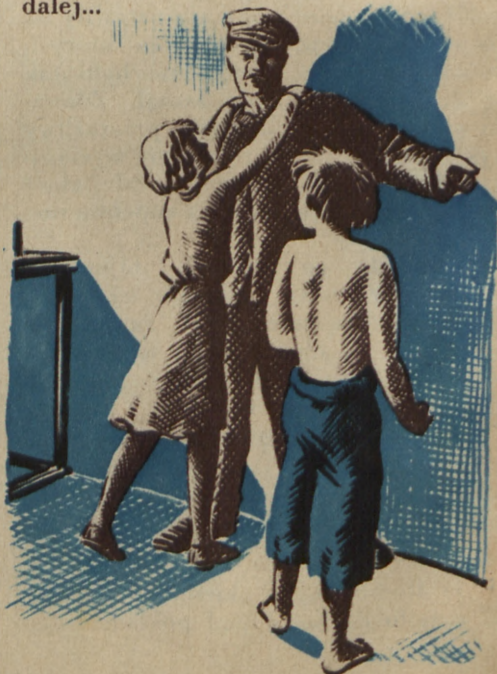
— Straciłem rodziców już cztery lata temu w Irkucku. Bolszewicy zabrali ich do więzienia, a potem wywieźli gdzieś, na północ. Zostałem sam, bo myśmy nie z Rosji lecz z Polski. Matka mówiła, że w Warszawie mieszkała z ojcem.

— I co, i co potem? — pytała dziewczynka z przejęciem.

— A no cóż, wałęsałem się, jak pies bezdomny z miasta do miasta, ze wsi do wsi, myśląc, że znajdę rodziców, aż wreszcie trafiłem do Władywostoku. Tu nikt nie chciał mnie przyjąć do pracy, ani dać jeść. Dostałem się jakoś do portu, a widząc okręt gotowy do odpłynięcia, zakradłem się nań po linie. Chciałem jechać w świąt. Może znajdę rodziców, a może dostanę się do Polski, tam przecież mam krewnych...

— Ależ „Gwiazda Polarna” płynie do Kameczaki — zawołała dziewczyna.

— Niech płynie gdzie chce, byle dalej...



W korytarzu rozległy się ciężkie kroki i do kajuty wszedł wysoki mężczyzna w mundurze kapitana marynarki. Spozstrzegłszy chłopca, błysnął gniewnie oczyma i krzyknął:

— Ty czego tu szukasz, włóczęgo? Marsz z kajuty!

W oczach Władka zapaliły się harde ogniki, a dłonie zacisnęły się w kulaki, ale w tej chwili dziewczynka skoczyła ku przybyłemu, objęła go rękami za szyję i poczęła wołać na-pół płaczymym głosem:

— Tatusiu, tatusiu, zostaw go, to Władek! To biedny chłopak! Cały tydzień nic nie jadł!

Dobrze, dobrze Maryś — przerwał kapitan, gładząc ręką czarne kędziory dziewczęcia, — powiedz mi jednak, skąd się wziął ten chłopak w twojej kajucie...

Dziewczyna poczęła beładnie opowiadać, co od Władka słyszała, a potem chłopak przyznał się szczerze, w jaki sposób dostał się na okręt i co go do tego zmuwiło.

Kapitan spoglądał bacznie na Władka. Podobał mu się ten smukły chłopak z hardemi oczami, gdyż widziało się w nim siłę i nieprzeciętną inteligencję.

Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że chłopak mówi prawdę, że nie zawsze był włóczęgą. Zresztą kapitan zbyt dobrze widział, co z ludzi zrobiła rewolucja rosyjska. Przecież i on sam o mało nie został rozstrzelany, a uratowała go od pewnej śmierci własna załoga, dla której był raczej ojcem niż przełożonym. Należał do najlepszych znawców mórz północnych, ale któż mógł zaręczyć, czy władze bolszewickie nie znajdą coś przeciw niemu, nie odbiorą dowództwa okrętu, a samego nie wtrącają do więzienia? I na tę myśl serce kapitana ścisnęło się trwożą, nie o siebie, lecz o córkę. Cóżby się z nią wtedy stało?

Szybko jednak otrząsnął się z tych myśli i rzekł do Władka:

— Wedle prawa powinienem cię zamknąć i na Kameczatce oddać władzom

policyjnym. Nie zrobię tego, jeśli dowiedziesz, żeś naprawdę chłopak uczciwy. Idź teraz do kuchni, aby ci dano jakiś możliwy przyodziewek, a potem zobaczymy, czy nie da się z ciebie zrobić tęgiego marynarza.

Rozpoczęło się teraz dla Władka życie zupełnie nowe i pełne uroku. Nie znał jeszcze morza i znojnego życia marynarzy, to też ciekawiło go wszystko. Z największym zapalem spełniał każdą pracę, jaką mu dawano. Usłużny i silny chłopak przypadł do serca starym wilkom morskim, toteż każdy chciał go mieć przy sobie. Najwięcej jednak polubił go stary, mrukliwy bosman¹⁾, który pełnił służbę przy kole sterowym. Brał on chłopca ze sobą na mostek kapitański, objaśniał znaczenie busoli²⁾ i różnych przyrządów sterowych, ciesząc się, że Władek w lot wszystko pojmuje. Nieraz też stary wilk morski mówił do swego kapitana:

— Z tego chłopca napewno coś dobrego wyjdzie, przecież to urodzony marynarz!

Kapitan uśmiechał się pod wąsem, bo lubił niezmiernie Władka, a słowa starego bosmana, niezbyt skorego do pochwał, były oznaką, że nie pomylił się w ocenie chłopca, gdy po raz pierwszy spotkał go w kajucie córki.

„Gwiazda Polarna” płynęła do Kameczatki z dużym oddziałem wojska bol-

1) Bosman — podoficer w marynarce.

2) Busola — okrętowa igła magnetyczna.



szewickiego, kilkudziesięcioma rodzinami zesłańców, które miano osiedlić w tym kraju, oraz ze sporym ładunkiem maszyn rolniczych i różnych nasion. Bolszewicy zamierzali Kamczatkę uczynić krajem rolniczym, nie licząc się zupełnie z jej surowym klimatem.

Pogoda sprzyjała przez cały czas podróży przez morze Japońskie. „Gwiazda Polarna” napotykała mnóstwo statków rybackich i niewielkich okrętów handlowych, a już w okolicy cieśniny Perusa, oddzielającej olbrzymią wyspę Jesso od Sachalinu, napotkała kilka potężnych pancerników japońskich i sporo kutrów¹⁾ strażniczych. Z pokładu widać było wyraźnie zarysy Sachalinu, z jego dzikimi, kamienistymi brzegami. Minąwszy ostry cypel Krilen, wrzynający się w cieśninę zwałami skał, wśród których pełno zdradzieckich wirów, wypłynęła „Gwiazda Polarna” na morze Ochockie, wzięła kurs północno-wschodni, mając po prawej burcie szereg wysp Kurylskich.

Niema na świecie morza tak zdradliwego i niespokojnego, jak Ochockie, to też wkrótce na „Gwieździe Polarnej” skończyły się dobre czasy. Olbrzymie fale zalewały pokłady, targały olinowaniem i rzucały okrętem, jak dziecinną zabawkę. Praca marynarzy była teraz bardzo ciężka, a na domiar złego począł dąć od północy mroźny wicher, pod którego tchnieniem obmarzały reje²⁾ i pokłady. Żołnierze, ulokowani w międzypokładziu, poczęli chorować. Nie lepiej trzymały się rodziny zesłańców.

Władek jednak czuł się zupełnie dobrze, lepiej może nawet, niżli przy fali spokojnej i równomiernej. Odbywszy swą służbę ze sternikiem, biegł wdół do kajuty kapitana i tu spędzał kilka godzin z Marysią, czytając jej książki lub

1) Kuter — mały statek, lub łódź motorowa.

2) Reje — poprzeczne drągi na masztach. Do rej przymocowuje się dolne i górne brzegi żagli.

pomagając w nauce języka francuskiego, którym władał zupełnie dobrze.

Przebywając dużo z dziewczynką, dowiedział się, że matka jej umarła przed kilku laty, że początkowo uczęszczała do szkoły we Władywostoku, ale od dwóch lat stale towarzyszy ojcu w podróżach i czuje się lepiej na okręcie, niżli na lądzie.

Pewnego dnia już od wczesnego rana wiatr zmienił się w wichurę i zasłonił niebo ciężkimi zwałami chmur, przewalających się nisko, nad silnie wzburzonym morzem. Olbrzymie fale były z wściekłością o żelazne boki okrętu, zalewały go wałami wód aż po najwyższy pokład. Do straszliwego ryku rozszalałych fal przyłączył się przeraźliwy chichot wichru i ogłuszający trzask piorunów. Gruby, rześisty deszcz począł bić z pluskiem po pokładach i oknach kajut. Zrobiło się tak ciemno, iż z mostka nie można było dojrzeć nawet dzioba okrętu.

Maszyny okrętowe pracowały z wysiłkiem, lecz burza spychała okręt coraz bardziej na południe.

Położenie stawało się coraz groźniejsze, bo w tem właśnie miejscu morze najeżone było podwodnymi skałami. Kapitan zdawał sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło „Gwieździe Polarnej”, to też, wydawszy odpowiednie zarządzenia, śledził bacznie tańczącą we wszystkich kierunkach wskazówkę busoli.

Naraz okręt skręcił się w miejscu, jak postrzelony ptak, potem pochylił się gwałtownie wbok, a równocześnie na rufie ozwał się złowieszczy trzask. Koło sterowe odrzuciło bosmana ze strasliwą siłą wbok, a potem zaczęło kręcić się bezładnie w tę i drugą stronę. Władek, stojący obok, chwycił za szprychy, ale wnet spostrzegł, że ster nie działa. W tej samej chwili „Gwiazda Polarna” podskoczyła gwałtownie wgórze, a potem runęła w olbrzymią przepaść. We wnętrzu okrętu rozległ się ogłuszający trzask, a równocześnie potworna fala rozbiła w trzaski kapitański mostek.

Władek poczuł, że jakaś nieprzewyciężona siła podnosi go w górę i rzuca w bezdenną otchłań.

Gwałtowny ból przywrócił mu przytomność. Z trudem poruszył rękami i namacał obmokłe liny. Fala rzuciła go na przedni pokład, w zwój lin, i to ocaliło go przed pewną śmiercią w rozhukanem morzu. Obmacał się dokładnie i z radością stwierdził, że kości ma całe. W głowie tylko czuł szum i tępy ból. Wnet namacał palcami szeroką ranę, z której sączyła się krew.

Rękawem oderwanym od koszuli przewiązał ranę i chwając się na obolałych nogach, ruszył ku górnemu pokładowi. Widok, jaki tu zobaczył, mógł ścisnąć krew w żyłach człowieka najbardziej nawykłego do okropności. Przy kilku ocalałych łodziach ratunkowych wrzała zacięta walka. Żołnierze ogarnięci dziką żądzą życia odpychali od łodzi marynarzy, bili osadników, strącali przez burtę kobiety i dzieci, które chciały pomóc mężom i ojcom. Pierwszy oficer okrętowy, który objął komendę po zmitym w morze kapitanie, leżał rozkrzyżowany na pokładzie. Trafiła go widocznie kula w chwili, gdy chciał powstrzymać ludzi, ogarniętych paniką. Drugi oficer leżał bezwładnie przerzucony na barjerze w pozycji, która nad wszelką wątpliwość świadczyła, iż jest bez życia.

Między ludźmi walczącymi o miejsce w łodziach, coraz częściej odzywały się strzały, coraz częściej ten i ów, podrzuciwszy ręce w górę, walił się na pokład, lub z burty wpadał w morze.

Marynarze z nadludzkim wysiłkiem zdołali wreszcie opuścić jedną łódź. Niestety, jeden z oszalałych strachem ludzi, uderzył nożem w liny blokowe i łódź, niedosięgnąwszy wody, zerwała się z wiązań. Ludzie, znajdujący się w niej, runęli w spienione fale, by znaleźć tam śmierć.

W tej chwili Władek przypomniał sobie Marysię. Poszukał jej szybko oczyma na pokładzie, a nie znalazłszy, ruszył co tchu w głąb statku. Mimo ciem-



ności zalegających, korytarze, odnalazł drzwi kajuty. Ale dziewczynki nie było wewnątrz. Ruszył przeto na pokład i jął jej szukać w tłumie walczących, a potem w gromadce kobiet i dzieci, stojących w zalekłem oczekiwaniu opodał. Ale i tu jej nie było.

Nagle wydało mu się, że poprzez zgiełk walczących i ryk fal słyszy gdzieś, zdali, znany sobie głos, wołający rozpaczliwie: — Ojcie! Władku!

Przechylił się przez burtę i na szczycie spienionej fali zobaczył bezwładną główkę dziewczynki.

Bez chwili namysłu skoczył w wodę.

Jakaś dobroczynna fala rzuciła go daleko w morze i pozwoliła kilkoma silnemi ruchami rąk zbliżyć się do dziewczynki. Chwycił ją w pól i z radością stwierdził, że żyje jeszcze. Od utonięcia uratował ją widocznie pas korkowy, który miała na sobie.

Teraz starał się Władek oddalić jak najszybciej do „Gwiazdy Polarnej”, leżącej już prawie burtą na wodzie. Wiedział dobrze, że wir tonącego okrętu może go pociągnąć za sobą, a wtedy nie byłoby już ratunku.



Odplłynawszy dosyć daleko obejrzał się poza siebie. „Gwiazda Polarna” przechyliła się jeszcze bardziej i każdej chwili można było oczekiwać jej zatonięcia. Większość ludzi zebrała się teraz koło wielkiego masztu, gdyż trzy łodzie pomyślnie opuszczone na wodę, nie mogły zabrać wszystkich. Wokoło okrętu pływało wielu rozbitków, starając się wdrzeć z powrotem na statek lub pochwycić unoszące się na wodzie belki, deski i beczki zmyte z pokładów. Wzburzone morze odrzucało ich jednak w bok i unosilo z sobą.

Władek był doskonałym pływakiem ale zdawał sobie dokładnie sprawę, iż na tych lodowatych toniach niedługo się utrzyma. Przy każdym poruszeniu odczuwał silny ból w potłuczonych upadkiem członkach. Na domiar złego, w zmaganiu się z falami, krępowała mu ruchy dziewczynka, będąca wciąż w jakimś półprzytomnym stanie. A jednak ani przez chwilę nie pomyślał, by ją zostawić falom i ratować się samemu.

Lecz nagle włosy zjeżyły mu się na głowie, a potworny strach ścisnął serce. Poczul bowiem iż coś oplatało mu nogi i pociąga za sobą. Próbował się uwolnić, ale za każdym gwałtowniejszym szarpnięciem nogi jego zaplątywały się bardziej, jakby pochwycone w sieć. Ostatnim wysiłkiem skręcił się, by uwolnić nogi i w tej chwili z piersi jego wyrwał się okrzyk nabrzmiały radością. Chwycił bowiem w rękę linę strzaskanego masztu, który został przez marynarzy usunięty z pokładu wraz z połamanymi rejami.

Lina ułatwiła mu dostanie się na słup masztowy. Ostrożnie i troskliwie ułożył na nim dziewczynkę i przywiązał ją do belki. Teraz mógł rozprostować zbolale ręce i odpocząć trochę. Nie obawiał się przekręcenia masztu, gdyż poprzeczna belka była nieruszona i utrzymywała słup w równowadze. Wiedział również, że jeśli zdołają przetrwać chłód nocy, to będą ocaleni. Rozbicie statku nastąpiło bowiem w odległości 50 mil morskich od łańcucha wysp Kurylskich, a kierunek wiatru wskazywał, iż tam właśnie fale powinny ich wyrzucić.

Należało więc doprowadzić Marysię do przytomności i w jakiś sposób uchronić ją przed zimnem. Po długim rozcieraniu jej zsiniałego ciała, zauważył, iż dziewczynka poczynna przychodzić do siebie. Wreszcie z radością stwierdził, że podniosła powieki i patrzy nań nierozumiejącymi oczyma.

— Płyniemy na maszcie, zamiast na okręcie — krzyknął do niej wesoło.

Dziewczyna pochyliła głowę nieco w bok, ale zobaczywszy nadpływającą falę, szybko zamknęła oczy.

Po długiej chwili Marysia otworzyła znów oczy i zapytała:

— Powiedz Władku szczerze, co się stało z ojcem?

Ale chłopak, mimo najszczerzej chęci, nie mógł nic pewnego powiedzieć. Sam przecież dotychczas nie wiedział, w jaki sposób z mostka kapitańskiego znalazł się między linami.

Dziewczynka słuchała uważnie opowiadania jego, spoglądając już bez trwogi na zabielenie pianą grzbiety fal, które niosły z nimi ogromny słup masztowy. Była to przecież córka marynarza i może gdzieś podświadomie odezwała się w niej żądza przygód i niebezpieczeństw. Mimo grozy położenia czuła się zupełnie bezpiecznie pod opieką tego silnego chłopaka. Wiedziała, że Władek uczyni wszystko możliwe, by ją ocalić. To też z zupełnym spokojem zaczęła opowiadać:

— W kajucie usłyszałam trzask zderzenia się naszego okrętu ze skałą pod-

wodną, dlatego też wzięłam pas korkowy i wybiegłam na pokład. W tej właśnie chwili runął maszt, przygniatając paru ludzi. Zdziwiłam się, słysząc komendę podawaną przez pierwszego oficera, nie zaś przez ojca, chciałam więc pójść na mostek i wtedy dopiero zobaczyłam, że sterczy z niego tylko kilka pogiętych belek żelaznych. Przeczynałam jakąś katastrofę, tembardziej, że ojciec nazywał „Gwiazdę Polarną” starem pudłem, które silnego sztormu nie wytrzyma. W czasie uprzątnięcia masztu przez marynarzy, oficer zajął się obsadzaniem ludźmi pozostałych na lewej burcie łodzi ratunkowych, dając jednak pierwszeństwo dzieciom i kobietom, co jest zgodne z prawem morskim. Ale żołnierze nie wiedzieli widocznie o tem prawie, gdyż zabili oficera, który zagroził im drogę z rewolwerem w ręku, zawładnęli łodziami i poczęli nas z nich wyrzucać w morze. Ja, będąc już w wodzie, zaczęłam wzywać ratunku. Byłam pewna, że usłyszysz mój głos i zdołasz mnie ocalić.

Władek nie odpowiadał, gdyż uwagę jego zajął spory przedmiot, płynący lekko na falach. Przedmiot ów zbliżył się niebawem i chłopak poznał w nim dużą łódź ratunkową, wywróconą dnem do góry. Jakaś natrętna myśl nie dawała mu spokoju. Zwinął szybko jedną z długich lin wlokących się za masztem i w chwili, gdy łódź była zupełnie blisko, rzucił się w wodę. Po krótkiej walce z falami dopłynął do łodzi i wdrapał się na jej dno. Odwiązał teraz linę od pasa i znalazłszy dulkę¹⁾ na wiosło przymocował do niej sznur. Wróciwszy znowu na maszt, po-



czął łódź przyciągać do siebie. Wreszcie, choć z wielkim wysiłkiem, zdołał ją przymocować do masztu. Teraz dał nurka pod łódź. Nie widać go było dosyć długo, wkońcu jednak wypłynął i usiadł koło Marysi, na maszcie, trzymając w ręku jakiś podłużny przedmiot.

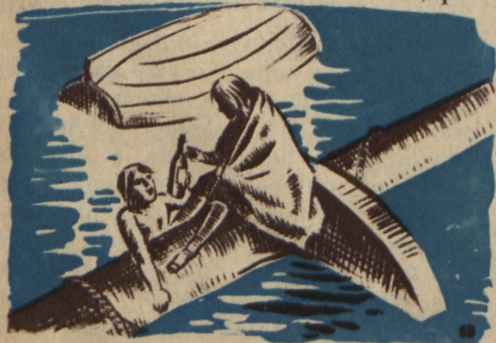
Dziewczynka spojrzała pytająco w śmiejące się oczy chłopca. Zrozumiał to nieme pytanie i odrzekł troszeczkę może chępliwie:

— Wino! Prawdziwe wino! Potrzyjcie tę paczkę, zaraz będziemy mieli i suchary!

Zniknął jeszcze raz pod łodzią i za chwilę ukazał się znowu, trzymając spórą, szczelnie zalutowaną skrzyneczkę blaszaną.

— Skądże to masz? — wykrzyknęła ze zdziwieniem Marysia.

— Z naszej spiżarni! Albo to nie wiesz, że każda łódź ratunkowa ma w skrzyni, na rufie, zapasy żywności? Na szczęście w tej łodzi skrzynia nie była zamknięta na kłódkę, łatwo się dała



1) dulka — żelazna obsada od wiosła.

otworzyć. Jest tam w niej jeszcze sporo rzeczy, ale przegląd ich zrobię później. Teraz musisz napić się trochę wina i należyście posilić się sucharami, bo inaczej nie przetrzymasz nocy.

Władek kilkakrotnie jeszcze badał zawartość skrzyni rufowej na łodzi. Zapasy żywności przeniósł przezornie na maszt, zawijając je w kawał nieprzemakalnej płachty, którą również ze skrzyni wyciągnął. Widząc, że dziewczyna trzęsie się od chłodu w swej przemoczonej sukieneczynie, odciął spory kawał brezentu i zawinął weń Marysię. Nie było to zbyt miękkie i miłe, ale zabezpieczało doskonale od pryskających fal i zatrzymywało sporą ilość ciepła ciała.

A jednak, mimo względnej wygody, jaką w podobnych warunkach można było uzyskać, myśli Władka były coraz bardziej niespokojne. Płynęli już trzeci dzień, a nigdzie nie widać było spodziewanego łądu. Morze uspokoiło się już zupełnie, a fale z krótkich, burzliwych, właściwych morzu Ochockiemu, stały się długie, posuwiste, zaledwie tu i tam obiełone na grzbietach pianą. Próżno chłopak wyteżał wzrok, czy nie dojrzy gdzieś siwawego skrawka łądu, długiego pasma dymu z kominów parowca lub białej plamy żagla. Wokół panowała beznadziejna pustka. W lekki poszum fal wdzieriał się ostry krzyk dużych mew krążących tu i owdzie.

Niepokoił go również jednostajny kierunek wiatru, spychający maszt wciąż w kierunku południowym. Widocznie któreś nocy przepłynęli między wyspami Kurylskimi i dostali się na Ocean Spokojny. Na samą myśl o tem wzdrzygnął się ze strachu. Gdyby trafili na jakiś prąd idący na południe, to mogliby żeglować całymi tygodniami. Ocean musiałby ich wcześniej czy później wyrzucić gdzieś na ląd, ale mogliby to być równie dobrze brzegi Japonji jak i Ameryki, a w najgorszym razie wyspy Południowe. Do Japonji mogli przypląć jeszcze żywi, ale w drodze do Ameryki czy wysp Południowych musieliby zginąć z głodu i pragnienia.

Korzystając ze snu dziewczynki, przeglądał dokładnie zapasy żywności. Pozostawała im jedna jeszcze butelka wina, pół blaszanki ze słodką wodą i trzy małe pudełka z sucharami. Mogło tego wystarczyć na cztery lub pięć dni dla obojga, postanowił przeto zadowalać się jaknajmniejszymi porcjami, byle tylko dać możność dziewczynie odżywiania się należyście. Było to tem potrzebniejsze, że przed dwoma dniami zapadła ona na jakąś złośliwą gorączkę, spowodowaną prawdopodobnie zaziębnieniem. Dla niej też zazdrośnie chronił słodką wodę, zadowolając się tylko jednym małym łykiem na dzień.

W czwartym, czy piątym dniu błysnęła rozbitkom na chwilę nadzieja ocalenia. Zdała na widnokręgu pokazała się wąska smuga dymu, a wślad za nią wychylił się z za wód kadłub potężnego parowca. Władek wymachiwał rękami i krzyczał w nadziei, że zostanie zauważony. Niestety, parowiec popłynął dalej i zniknął wreszcie w porannej mgle. Tej samej nocy widzieli rozbitkowie aż dwa okręty błyskające ku nim setkami migotliwych świateł, bijących z okrągłych okienek kajut... Jeden ze statków przepłynął nawet tak blisko, że Władek mógł odróżnić ciemne kontury masztów i pokładów, niestety i tu nie dosłyszano jego wołania. Nie dziwił się temu wcale, gdyż słyszał niosące się daleko po wodach wesołe tony okrętowej orkiestry. Pasażerowie statku skracali sobie nudę długiej podróży muzyką i tańcami, nie przeczuwając nawet, iż o kilometr dalej, na odłamku masztu płynie dwoje dzieci, wycieńczonych już zupełnie z sił.

Po dwu następnych dniach, zauważył Władek lekką zmianę wiatru na wschód. Ucieszyło go to trochę, chociaż nie zdawał sobie sprawy dlaczego. Był już tak przemęczony bezsennością i nocnymi chłodami, szalonym pragnieniem i głodem, że chwilami tracił zupełnie przytomność. Zdawało mu się wtedy, że płynie na „Gwieździe Polarnej”, że widzi już brzegi Kamczatki z jej wysokimi wulkanami, że za chwilę pożegna kapi-

tana i jego córkę i pójdzie w nieznaną sobie kraj.

Chłodne bryzgi spienionej fali przywodziły go do przytomności, ale po chwili znów zapadał w niepamięć. W chwilach przytomności spoglądał z trwogą na dziewczynę. Gorączka czyniła u niej szalone postępy. Majaczyła coś bez związku, chciała biec z krzykiem i opadała bezsilnie na maszt, przywiązana doń silnie sznurami.

Przeżyli jeszcze na morzu jedną i drugą dobę. Teraz już nie mieli ani kropli słodkiej wody, ani jednej okruszyny sucharów. A nigdzie nie widać było znaku lądu, ani zbawczego okrętu. Władek leżał już prawie bez życia, czując zbliżający się koniec.

I nagle maszt, płynący wciąż na południe, zmienił kierunek. Począł dążyć wprost na wschód. Gnał go potężny prąd, omywający brzegi Japonji. W tym właśnie czasie silny organizm dziewczynki zmógł chorobę i Marysia odzyskała przytomność. Przeraziła się niezmiernie, widząc towarzysza swego leżącego prawie bez życia, połową ciała na maszcie, a nogami we wodzie. Mimo osłabienia, rozluźniła krępujące ją sznury i wciągnęła Władka na maszt. Chłopak otworzył oczy, ale wzrok miał zupełnie mętny. Głowa jego była gorąca, jak rozpalone żelazo i opadała bezwładnie to w tę, to w drugą stronę.

Dziewczyna trzymała bezradnie głowę Władka na swoich kolanach i z rozpaczą patrzyła przed siebie, na równomiernie przewalające się fale.

Nagle wzdrygnęła się. Zdawało się jej, że gdzieś, z tyłu słyszy przeraźliwy wrzask syreny okrętowej. Obejrzała się i z nadmiaru radości straciła przytomność.

Władek poczuł na czole miłe, pieściwe dotknięcie. Otworzył oczy i przez długą chwilę patrzył. Potem mocno zacisnął powieki i znów je otworzył.

Poruszył się niespokojnie, jakby chcąc upewnić się, czy to, co widzi, jest rzeczywistością, a nie senną zjawą. Ale piękna twarz, otoczona aureolą cudnych złotych włosów i dwoje ogromnych, fioł-

kowych oczu nie zniknęły. Ale nawet przeciwnie, twarz ta okraszona tak dobrze znanym uśmiechem zbliżyła się jeszcze bardziej i wtedy na czole poczuł leciuchne dotknięcie ciepłych warg.

— Matuś — wyszeptał.

Głowa kobiety pochyliła się jeszcze niżej i złote włosy zakryły zupełnie twarz chłopca. Przycisnął do nich rozpalone wargi i nagle nad uchem zaszeptał mu cichy głos z serca idącej prosby:

— Żyj synku! Żyj kochanie!

Władek z wysiłkiem podniósł ręce i splótł je na szyi kobiety. Nie miał siły mówić, lecz w ten sposób chciał wyrazić swą radość i całą tęsknotę miłości.

Nagle z boku zabrzmiał jakiś głos męski, siłący się pokryć gderaniem wzruszenie.

— Niechże pani już odejdzie. Rozpieścicie mi chłopca na nic, przecież to nie dziewczyna!

Gdy matka podniosła głowę, zobaczył Władek nad sobą brzydką twarz Japończyka, ubranego w biały, doktorski kitel. Doktor wziął go za rękę, zbadał puls i z podziwem pokręcił głową, mówiąc:

— No, no, chłopcze, masz szczęście! Zapalenie mózgu przeszło bez śladu. Teraz tylko trochę cierpliwości i wszystko będzie dobrze. Zrobiłeś nam miłą niespodziankę, bo z okrętu, który was wyłowił na oceanie, oddano ciebie prawie bez życia w moje ręce!

— A gdzie tatuś, gdzie Marysia? — wyszeptał słabo Władek.

— Ojciec w Tokio, a twoja towarzyszka niedoli zdrowa już zupełnie, chociaż osłabiona. Opowiedziała wszystko. Nie wiedziała tylko, żeś sam nie pił i nie jadł, by ją jaknajdłużej przy życiu utrzymać. To odgadł już doktor, któremu Marysia zwierzyła się ze wszystkiego. Doktor też zajął się tobą i podał w gazetach twoje nazwisko. Dzięki temu odnalazłam cię, mój synku. Do końca życia wdzięczni będziemy doktorowi. Prawda?

— O, tak, matuś złota!



Japończyk, który znał dobrze rosyjski język, słuchał z ciekawością

dźwięków polskiej mowy i coś niecoś rozumiał. Patrzył z uznaniem na Władka, to na jego matkę i wreszcie odezwał się:

— Postąpiłeś chłopcze, jak bohater. Daj Boże, by wszyscy Japończycy byli tacy. Przyniosłeś chlubę swojej matce.

Nagle drzwi rozwarły się cichutko i w progu pokazała się postać dziewczęcia. Przez chwilę patrzyła na Władka i nagle rzuciła się ku niemu z okrzykiem, zdławionym łzami radości.

— Dziękuję ci, Władku, dziękuję...

Jerzy Giżycki

ŻÓŁTY PIES

Na rogu Bielańskiej zdawało się Stasi, że już zgubiła w tłumie tego przybłąkanego pieska, który przyczepił się do niej gdzieś chyba na Długiej i szedł za nią, — i odetchnęła z ulgą, a zarazem było jej jakby przykro.

Dlaczego było jej przykro? Przecież wiedziała doskonale, że nie może go zabrać ze sobą do domu, że nawet mowy niema o tem. Ale było jej żal, że już nie widzi jego bojaźliwych a uważnych, wlepionych w siebie oczu, jego śmiesznie przekrzywionej na bok głowy ze stojącymi uszami, kiedy się tak w nią wpatrywał, gotów o każdej chwili uskoczyć w bok na wypadek, gdyby go odpędzała, i o każdej chwili zbliżyć się, przyjąć do ręki, gdyby zechciała go pogłaskać.

Okazało się, że niepotrzebnie odetchnęła z ulgą. Niepotrzebnie też było jej przykro. Z za ludzkich nóg, z za rzędu taksówek wyjrzał ku niej znowu jego łagodny, zatroskany pysk, jego ogon lekliwie podkurczony... Udawała, że nań nie patrzy, ale czuła, że to na nic, że on idzie za nią.

— Ach, mój Boże — ścisnęło jej się serce — ach, mój Boże! Co to będzie, co ona zrobi z tym psem, jeśli on się gwałtem uprze, żeby pójść za nią? Co ona wtedy zrobi z tym utrapionym psem? Z tym kochanym psem?...

Bo czuła już, że go kocha. Był niewielki, cały gładziutki, jasnożółty, rów-

nej barwy, ani jaśniejszej, ani ciemniejszej. Wyraz pyska miał dobrotliwy a zarazem chytry i taki jakiś, że trzeba było się do niego uśmiechnąć. Trochę jak lis, trochę, jak jamnik, ale jamnik nie rasowy, bo na rasowego miał za długie nogi i za mało krzywe.

Koło Orlej zawieruszył się znowu, i tym razem Stasia wyraźnie się uspokoiła, a jednocześnie było jej tak, jak gdyby zdradził ją, jakby odszedł od niej jej własny pies... Nie na długo, bo ledwie skręciła w Leszno, był już znowu i teraz szedł za nią noga przy nodze, zupełnie się już nie krępując... Ładna historia! A jednocześnie było przyjemnie, że on tak idzie, i aż się oglądała, czy wszyscy patrzą, jakiego to ona ma psa?...

Nikt nie patrzył. Ściemniało się, deszcz zaczynał padać, przechodniów było niewiele i zapewne co innego mieli w głowie, niż podziwiać Stasingo psa. A Stasi znowu ścisnęło się serce, że to nie jej pies, tylko obcy, przybłąkany i że co to będzie, jak on wejdzie za nią do domu i matka go zobaczy? — Tego nam tu właśnie brakowało, w tej ciasnocie — powie i każe mu zaraz iść sobie. A dokąd on pójdzie? Będzie stał pode drzwiami na schodach, stróż wyrzuci go za bramę, hycel będzie jeździł raniutko, porwie go... i Stasi aż chce się płakać. Ciekawe, czy ojciec już wrócił do domu? To chyba już jest bardzo późno... I prze-

rażona przyspieszyła kroku. Pies za nią. Więc przystanęła znowu. Oto zrobi ostatni wysiłek, żeby go odegnać. Jeśli się nie uda, to niech już dziczeć się, co chce! Ona już nic więcej nie może zrobić...

— Idź sobie, idź! Poszedł! Poszedł! Poszedł...

Ręka zamierza się w powietrzu do bicia, noga groźnie tupie po asfalcie, a serce aż drży: odejdzie?... nie odejdzie?...

Nie odchodził. Podkurczył tylko ogon i uskokzył pod mur kamienicy tak lekko, jakby wogóle nic nie ważył. Przylutula się do muru, robi się płaski, robi się mały, poprostu niema go! A pokornymi oczami tylko patrzy, żeby, gdy Stasia ruszy się z miejsca, iść za nią...

Okropny pies! Więc natupawszy się i nakrzyuczawszy, Stasia idzie dalej. Sumienie ma czyste: zrobiła, co mogła. Jeśli mimo wszystko pies pójdzie za nią, to nie jej wina. Teraz do samej bramy nie obejrzy się. Dopiero przy bramie...

Nie potrzebuje się obawiać: czuje, jak ociera się o jej nogi, jak pierwszy pcha się, jakby wiedział, że to tu... Wesoły, ufny, biegnie po schodach, oglądając się na nią.

Z bijącym sercem wchodzi Stasia na to swoje czwarte piętro. Staje za drzwiami. Nasłuchuje, czy wszyscy są w domu.

*
*
*

Matka siedzi na łóżku obok kaszłacej małej Krystyny, i od razu poznać, że jest czemś zdenerwowana, czy przejęta. Stryjek stoi pod piecem i bardzo czegoś dowodzi, coś tłumaczy, kreśląc jakieś linie ręką w powietrzu. Ojciec chodzi od drzwi do okna, od okna do drzwi. Teodora niema.

Rozmawiają. I to tak rozmawiają, że na Stasię i psa nikt nie zwraca uwagi. Stasia nie wie, o czym rozmawiają. Myśli tylko o psie. Siada na kufierku, a pies przycupnął za jej nogami, i nikt go nie widzi. To i lepiej, że go nie widzą. A może lepiej byłoby, żeby się prędzej skończyło? Niech się dzieje, co chce!...

— Jeśli inni tak mogą, to czemu my nie? Tybyś chciała do gotowego! — krzyczy prawie ojciec.

— Ty wiesz, że ja się żadnej roboty nie boję — irytuje się matka: — ale co będzie, jak ci Piątkowski nie odda? Co wtedy? Możesz liczyć na te pieniądze? Nie możesz! I wszystko stanie! Żeby choć jakakolwiek buda była, to co innego. Ale tak?... Tym dwojgu nic nie będzie, wam nic, o mnie nawet niema co mówić, ale tej... — i wskazuje ręką na wiecznie chorującą Krystynę. — Teraz jest lato, no, dobrze! Sierpień, wrzesień, jeszcze dobrze. Ale jak przyjdzie jesień, a domu nie będzie?... Żeby ona była taka, jak Stasia, niechym nie powiedziała... — i matka spojrzała na Stasię, jakby ją dopiero teraz spostrzegła.

Stasia struchlała i zasłoniła sobą psa. Ale oczy matki oderwały się od niej:

— A może jeszcze pogadać z gospodarzem?...

— Co będziesz gadała! — huknął ojciec — przenosić się i koniec! Dostyc tego dobrego!

I zaraz znowu zaczął obliczać: cegła tyle, drzewo z rozbiórki tyle, okna tyle...

Cicho przesunęła się Stasia do pieca, zajrzała do garneczka od kawy. Był pusty. Sięgnęła po chleb do szafki, nie wiedziała, czy wszyscy już jedli i ile może



sobie odkroić. Spojrzała na matkę. Matka kiwnęła jej głową, że może.

— Odgrzej sobie kartofle — powiedziała — ogień jeszcze jest.

I zaraz zajęła się znowu tamtem. Ojciec oderwał oczy od jakichś rachunków.

— To zagrzej i dla nas herbaty — powiedział łagodnie.

Stasia nabrała otuchy. Wiedziała już, że mówią o tej działce za Wisłą. Słyszała to wszystko sto razy. Myślała tylko o psie. Jakże głośno mlaskał, jedząc ten zimny kartofel. Aż się położył i pysk przekrzywił jakoś bokiem. — Ciszej, piesiunieczku, ciszej! — błagała go w myśli. Tak się bała, że go wyrzucą...

Przysiadła ze swoim chlebem na niskim stołeczku przy kuchni, czekając, aż się woda zagotuje. Zasłoniła psa sukienką, choć wiedziała, że na nic, że i tak się wyda. Gładziła go po głowie, gładziutkiej i ciepłej. Poczowała, że ją liże po ręce gorącym językiem.

— Od jutra za tydzień i niema gadania! Prędzej czy później tak musi być! Weźmie się, piecyk żelazny się postawi z rurą, budę się skleci raz-dwa, taki bylejaki domek. Niechby się tylko graty jakoś zmieściły.

— Nie tylko o graty chodzi, ale przede wszystkim o dzieci — szepnęła matka — nie będą przecie na zimnie, na deszczu...

— Gdzie tam zimno! Lato idzie, a ty o zimnie... — i ojciec dalej o tej cegle: że cztery tysiące sztuk, że może trzy tysiące pięćset...

Nieruchomieje ręka Stasi na żółtym psim grzbiecie: o czym mówią? To już nie to, co tysiąc razy, to coś nowego, coś bliskiego, coś śpiesznego, już, już...

Uśmiechnięty pysk wysunął się z za stołka, z za nóg, z za sukienki, za nim cały żółty pies, i nim Stasia zdążyła się ruszyć, rozwalil się bezwstydnie pod piecem, zupełnie otwarcie, na oczach wszystkich, zadowolony z siebie. Matka patrzy na niego i urywa w pół słowa, za oczami matki idą oczy ojca, stryjka, wszyscy patrzą... a ten leży, jak głupi, ogonem bije w podłogę, przewraca się brzuchem do góry, rozkoszny taki...

Milczenie. Stasi się zdaje, że słyhać bicie jej serca. Aż wkońcu:

— Kto pozwolił przyprowadzać tu psa? Mało nas ludzi jest w tej ciasnocie? A kto go będzie karmił?...

Pełna łez, patrzy Stasia na ojca. Ach, niczego dobrego nie może od niego oczekiwać, niczego...

Aż tu nagle stryjek:

— Czekajcie, czekajcie, nic nie mówcie! Przyda się on wam na działce, jeszcze będziecie dziękować. Przecie tam bez psa nie można, przecie pies musi pilnować!

I odrazu od tych słów, jakby coś pekiło, jakby się wszystko zmieniło, jakby się jakaś karta odwróciła! Odrazu staje się jasne: to nie te rozmowy, które Stasia słyszała tysiąc razy, to już poprostu przeniesienie się na działkę za Wisłą. Na tę działkę po drugim stryjku, na tę działkę, o której się ciągle mówi i na której niema żadnego domu. To ojciec ze stryjkiem Kazimierzem postawią budę na graty, nim się prawdziwy dom zbuduje, a pies będzie pilnował!

Rozczzerwieniona, jak w gorączce, szczęśliwa, biega Stasia od kuchni do stołu, podaje kubki z herbatą, chleb... Temu stryjkowi, to zamiast herbaty samego złotaby naląła!

— Może odgrażać stryjkowi kartofle (jak to dobrze, że ich nie zjadła)?

Leci do tego odgrzewania, jak na skrzydłach.

— Posuń się — mówi do psa, już całkiem spokojna, pewna swego.

— Ależ to jeszcze prawie szczenię — powiada ojciec.

— To nie, to lepiej, że młody, prędzej się przyzwyczai — dodaje stryjek.

Ach, naprawdę, ozłociły tego stryjka, ozłocić! I Stasia wyskrobuje wszystek szmalec z papierka do tych kartofli, tak że dla spóźnionego Teodora nie nie zostaje.

Ale Teodor jest tak zajęty tem, co mówią, że nawet nie się nie upomina. — Gołębnik urządzić — rozmyśla — gołębnik! — i bawi się z psem. Pies miękko, łagodnie gryzie każdego w ręce, a potem liże z namysłem, przymykając oczy, roz-

Lokomotywa stanęła zmęczona, a pan Krupa powiedział jeszcze palaczowi, że będzie trzeba odciąć potowę wagonów. Lecz zanim to uczynią konduktorzy, trzeba sobie spocząć.

Spoczywali więc wszyscy. Lokomotywa, pan Krupa i palacz Niebrój w zatuszowanej czapce na małej głowie. Konduktorzy zaś ganiłi koło wagonów i zastanawiali się, gdzieby je rozpiąć.

Nanokoło był wielki las. Las był wysoki, szumiący i chłodny. Pachniały w nim jakieś nieznanne kwiaty. Krupa pociągnął przez nos raz i drugi. I rzekł do Niebroja:

— Pięknie w lesie pachnie!... Jak w kościele!
— Yhy!... Pięknie!... — przyświadczył mały Niebrój i także pociągnął mocno przez mały, zadarty nos.

Słońce było wysoko na niebie. Przedzierało się przez gęste korony drzew i siało pod niemi drobne, ruchliwe, złociste cętki. Jakby ktoś talarki sypał po igliwiu i po zeschłych, zeszłorocznych liściach. Górą szumiął ciepły wiatr. Zdawało się, że to wielka, słoneczna woda szumi ponad lasem.

— A jak szumi!... — zauważył znowu pan Krupa, podnosząc zmęczone oczy pod niebo.

— Yhy! Jak woda w Bermanowym młynie! — przytaknął mały Niebrój. — Albo para z dziurawego kotta! — poprawił się w te pędy.

— Żadna woda lub para!... Nic pan nie wie, panie Niebrój!... — mruknął pan Krupa, ma-

— Wszystkim chłopcom w mojej klasie!...

— A skąd masz tę siłę?

— Z fasoli!... Kto fasolę jada, to taki silny.

— Ja też jadam fasolę, a nie jestem taki silny — zmartwił się Jędrak.

— No, bo ty... wiesz, bo ty jesteś garbaty!...

Gdybyś nie był garbaty, tobys też był silny... Ale nie martw się!... — rzekł prędko, widząc, że chłopiec opuścił głowę, a na rzęsach wyblęśły dwie łzy. — Nie bez!... Gdy będziesz miał tyle lat, co ja, to też będziesz trochę silniejszy, niż teraz jesteś!... Wiesz?

— Wiem!... — szepnął uspokojony Jędrak.

— No, to dobrze. A teraz będziemy myśleć o tych szcurach, co straszą...

Odtąd przez kilka dni zbijał Karlik jakieś de-
ski, walił młotkiem, rzezał tępym nożem, strugał, wymierzał, czasem poklinał ścicha, bo raz i drugi przybił sobie palec i to tak, że aż krew wystąpiła, lecz wkońcu łapka na szczury była gotowa.

Karlik był ogromnie dumny ze swego dzieła. I jeszcze bardziej rósł w dumę, kiedy zaczęli się schodzić ludzie z parteru, żeby zobaczyć, co to Karlik zmajstrował. Przyszedł więc chudy i cienki Sembol i powiedział, że gdyby Karlik do tej łapki złapał jego tasiemca, który go gryzie w brzuchu; dałby mu tysiąc złotych. Przyszedł potem majster Przybyła o małym, zadartym nosku.

— Cóż to będzie, ty synek? — zapytał sapiąc ciężko jak Krupowa lokomotywa, kiedy nie może wagonów uciągnąć.

— Łapka na szczury! — rzekł Karlik.

— Hm, hm!... Łapka!... No ładnie, ładnie!... — i poszedł.

Potem przyszedł ślepy na jedno oko Ćmok. Popatrzył na łapkę, popukał palcem, potem wytart z hatasem nos do palców i kiwnął głową.

— Dobra!... — mruknął tylko i znów wytart nos do palców.

Przyszedł pan Krupa z czerwonym nosem. Także przypatrzył się łapce, pokijał głową i zapytał:

— Toś ty zrobił?

— Ja.

— No, no!... — i pokręcił głową.

Za Krupą przybiegła pani Krupowa. Gruba, pękata, czerwona na gębie, jak burak. Podparła boki i wrzasła:

— A komuś ukradł deski na tę łapkę?

Karlik zamroczył się, splunął, jak to zwykł widzieć u starych górników, i warknął:

— Nikomu nie ukradłem!...

— Poczekaj, zaraz się przekonam!... — i pobiegła w dyrdy do drewni, by się przekonać, czy Karlik nie ukradł jej deski na łapkę.

Kiedy już wszyscy poszli, Karlik szepnął Jędkowi:

na strych. Ostrożnie przemykali się, by nie zobaczyła ich pani Krupowa.

Pod pomost wsunął się Karlik. Potem wylazł i rzekł uradowany, że szczur złapał się do łapki, bo furтка zamknięta.

WIEWIÓRCZYNA NIEDOLA.

Lokomotywa z numerem 3001 już dalej nie mogła ciągnąć. Zapierała się kółkami, chrapała z wysiłku, puszczała parę z krótkiego kominna, a w brzuchu jej aż piszczalo coś rozpaczliwie, lecz uciągnąć nie mogła.

Wtedy pan Krupa, jej maszynista o czerwonym nosie i zapłakanych oczach, pomyślał sobie, że jeżeli nadal będzie swoją lokomotywę poganiał, to jej coś pęknie we wnętrznościach. Już to mu się nieraz zdarzało, że maszynie pękło jakieś kółko, jakaś skuwka czy coś podobnego. Musiała wtedy przyjechać lokomotywa z numerem 5320-b, żeby ratować swoją nieszczęsną kamratkę. Wlokła ją potem na dworzec, a pan naczelnik stacji gniewał się bardzo i też się drapał po głowie ze zmartwienia.

Kiedy więc teraz pan Krupa zauważył, że jego lokomotywa nie uciągnie wagonów, zatrzymał dopływać pary i mruknął:

— Widzisz, już znowu szyny są wilgotne!... Jeżeli bowiem były szyny wilgotne, to koła jej toczyły się w miejscu.

— Wiesz, pierwszego szczura, co schwycę, to puszczę pani Krupowej do izby!...

Potem wziął łapkę pod pachę i powędrował z nią na strych. Za nim kroczył Jędrrek. Następnie Karlik wziął skórę ze słoniny, wsadził na drut i włożył pod blachę, pod którą już ogień wygasł. Słonina zaczęła skwierczeć, skręcać się pocięźnie, a tłuszcz kapał dużemi kroplami na żarzące się węgle. Każda kropla zajęta się jasnym płomieniem. Kiedy wkońcu skórka była już dostatecznie upieczona, Karlik ją wydobyl. A wtedy po kuchni rozszedł się smakowity zapach słoniny. Jędrkowi aż ślinka do ust spłynęła.

— Wiesz, co? Zjedzmy ją!... — rzekł do Karlika.

— A co damy szczurom? — zdziwił się Karlik. Jędrrek zaś w tej chwili zazdrościł szczurom, że będą jadły tak bardzo pachnącą skórę ze słoniny.

Karlik zaczęcił teraz tamtą skórę na specjalnym haczyku w głębi łapki. Coś tam pomajstrował ostrożnie palcami, coś założył, coś podłożył i już łapka była nastawiona.

— Wiesz — tłumaczył Jędrkowi — szczur wejdzie do łapki, pociągnie za skórę, a wtedy ta furtka klapnie i już jest zamknięty!...

— A co potem?

— Co potem? — zastanowił się Karlik. — Potem weźmiemy łapkę, pójdziemy z nią pod mieszkaniem pani Krupowej, ty otworzysz lekko



drzwi, ja zaś otworzę łapkę i szczura jej wpuszczę do izby. Żeby wiedziała!...

— A czemu to uczynisz?

— Bo wsiadła na mnie z krzykiem, czy jej nie ukradłem desek!... Ho, ho!... Ona mnie popamięta!...

Potem Karlik wziął łapkę i zaniósł ostrożnie pod skrzypiący pomost. Ustawił ją, jeszcze raz popatrzył, czy wszystko w niej w porządku, a potem pociągnął Jędrka za sobą. Wybiegli na podwórce.

Ponieważ w tym domu, gdzie mieszkali, nie było więcej dzieci, więc Karlik postanowił pójść do pierwszego domu, gdzie było ich sporo. Był kulawy Robert, był zezowaty Hanyś, potem kucharzy Hajndrych, był jeszcze czupurny i zaczepny Emil, a między nimi wodziła rej Hana Buchcianka.

Hana Buchcianka miała krótkie czarne włosy, czarne oczy, a podobna była do cyganki. Łaziła po drzewach, jak wiewiórka, nikogo się nie bała, a chodziła już do piątej klasy. Ponieważ była najstarsza z całej gromadki i najsilniejsza, wszyscy się jej bali, chociaż każdy udawał, że się jej nie boi. Hana Buchcianka była bowiem silna. Gdy powiedziała, że wszyscy teraz pójdą łazić po drzewach, a ktoś z nich nie chciałby pójść, to go zdzieliła pięścią.

— Pójdiesz, czy nie pójdiesz? — krzyczała. I każdy szedł, bo się bał Hany Buchcianki.

Kiedy Karlik przyszedł z Jędrkiem na ich podwórce, Hana siedziała na kamieniu i coś opowiadała. Na ziemi zaś siedzieli wszyscy chłopcy. Kudłaty Hajndrych palił papierosa. Kiedy jednak ujrzał Karlika, szybko go zdeptał, bo się połękał, że to powie panu nauczycielowi.

— Wiecie co, kamraci? — zaczął Karlik.

— No, co? — zapytała za wszystkich Hana Buchcianka, podobna do cyganki.

— Szczury łapię!... — i jął opowiadać, co to uczynił, żeby szczura złapać. A kiedy w końcu powiedział, że go zamierza wpuścić do mieszkania pani Krupowej, wszyscy wrzaski okropnie uradowani. Nikt bowiem nie lubił pani Krupowej, ponieważ ich biła, odpędzała od domu, a każdego wyzywała szpetnymi słowami. Najbardziej zaś wzdrywała na Hanę Buchciankę. Mówiła, że na szubinię skończy. U pani Krupowej każdy miał na szubinię skończyć.

I wszyscy chcieli już teraz pobiec na strych, gdzie była łapka na szczury, lecz Karlik powiedział, że teraz jeszcze nie można iść, ponieważ szczur jest bardzo mądry i nie tak szybko wejdzie do łapki. Dopiero wieczorem pójdą.

Bawili się więc, aż do wieczora. Hana nawet Jędrka dopuściła do zabawy. Szukali tak zwanej złotej kuli, co znikła u Goduli, a po której trzeba było jechać przez morze, żeby ją znaleźć w ko-morze. A kiedy już tych złotych kul znalazono całą gromadę, poszli wszyscy za Karlikiem

wala się brzuchem do góry, a potem, gdy się już chce odchodzić, zrywa się i łasi, skacze, zatrzymuje, żeby nie... żeby jeszcze się bawić z nim! Nie można go nie lubić. I matkę zawojował, i ojca...

Gadają późno w noc. I Stasia, usypiając już prawie, słyszy ich głosy.

— A wiesz, jak on się będzie nazy-

wał? Będzie się nazywał Pilnuj — mówi nagle do Teodora.

Ale Teodor już chrapie na swoim sienniku. Matka rozbiera rozspaną Krysytynę. I Stasia też zasypia, szczęśliwa, tułac do siebie ciepłe, żółte cielsko swojego psa, Pilnuja...

Helena Boguszevska



MURZYNEK

Sypiam na twardej macie,
plecionej własną ręką.

Gdym głodny — każdej chwili
na głazie twardym tłuczkiem
z bananów i daktyli
urządzam sobie ucztę.

Bawię się z kolegami
pod bambusowym płotem,
albo dla mojej mamy
trzcinowe maty plotę.

Miłe jest życie proste,
gdy się nie trzeba smucić.
Lecz tego wam zazdroszczę,
że się możecie uczyć.

Choćby tu dzieci dały
chętnie największy przysmak —
u nas, w plemienu całym,
niema dla dzieci pisma.

Nikt tu nie umie czytać,
kraj nasz jest całkiem dziki,
lecz i tak moc powitań
przesyłam wam z Afryki.

Edward Szymański



SZESNASTOLETNI BOHATER

Deszcz padał całe popołudnie. Po podwieczorku przejaśniło się na chwilę, więc czempredziej zgarnięto do pudełka warcaby, „ping-pong” powędrował do szafy, prócz jednej piłeczki, która gdzieś przepadła, jak kamień w wodę. Właśnie młodzież wybierała się na dłuższą przechadzkę do lasu na grzyby, gdy... znowu lać zaczęło!...

— Daję słowo! — wykrzyknęła Basia, — można dostać bzika!

— Jeżeli go się już niema... — dociął jej Andrzej. — A inna rzecz, że ten deszcz mógłby nareszcie przestać nas dręczyć.

Magdusia i Piotruś byli tego samego zdania.

— Niema innej rady, tylko trzeba poprosić ciocię, żeby nam opowiedziała jakąś historję. Widziałem, jak od wczoraj oglądała stare książki, a potem coś notowała. Może więc podzielić się z nami tem, co przeczytała.

Cała czwórka pędem pobiegła do ciotki, Basia zarzuciła jej ręce na szyję, Andrzej całował ciotunię po rękach, Piotruś skakał na jednej nodze, a Magdusia wyluszczyła prośbę.

Czy ciocia mogła się oprzeć takiej czeredzie?

— No, dobrze, już dobrze! Ale dajcie mi odetchnąć, bo mnie zadusicie. Chcecie, żebym wam opowiedziała, co przez ostatnie dni czytałam. Dobrze, ale nie wiem, czy będziecie radzi, bo opowieść nie będzie wesoła.

— To nic, to nic!

— Więc dobrze. Zapalę lampę stojącą, usiądziemy sobie w rogu na tapczanie, stamtąd widać gościniec, wiodący do Lidzbarka. A właśnie studjowałam historję Pomorza.

— Basia i Andrzej napewno znają dzieje Pomorza, bo chociaż nie tutaj się rodzili, ale przecież mieszkają od kilku lat pod Lidzbarkiem i chodzą tam do szkoły.

— Tak, to prawda. Ale o tym młodym bohaterze, o którym wam chcę opo-

wiedzieć, nie wszyscy wiedzą. Znalazłam o tem wzmiankę w małej broszurce, wydanej kilkadziesiąt lat temu. Pożyczył mi ją pan kierownik szkoły, resztę szczegółów opowiedział mi wasz wuj Adaś.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że to niewielkie, bo zaledwie cztery tysiące mieszkańców liczące, miasteczko Lidzbark, narażane bywało od niepamiętnych czasów na niejedną zawieruchę wojenną i wielokrotnie przechodziło z pod panowania polskiego pod rządy pruskie, to moskiewskie, a nawet szwedzkie. Im większy był ucisk najeźdźcy, tem opór był silniejszy. Pierwszymi wrogami, którzy zawładnęli tą częścią Pomorza byli Krzyżacy. Rozgromił ich Jagiełło i w zwycięskim pochodzie wracał z pod Grunwaldu przez Lidzbark.

— A czy ten bohater, o którym ciocia obiecała nam opowiedzieć, też pochodził z Lidzbarka?

— Tak, zgadłeś Andrzeju. Coprawda, nie z samego Lidzbarka, lecz z okolicy, z Konstancjewa. Żyła tam zacna rodzina Mateuszostwa Chrapkiewiczów. Pan gospodarzył solidnie, pani odznaczała się pobożnością, córka, jedynaczka — urodą, a syn wielką odwagą i patryjotyzmem. Musiał uczęszczać do niemieckiej szkoły, bo innej w owym czasie nie było w najbliższej położonym Lidzbarku. Ale potajemnie często czytywał polskie książki nawet podczas lekcyj, pod ławką. Koledzy go ostrzegali, bo bardzo Teofilka lubili.

„Co mi tam ten belfer pludracki zrobi!” — odpowiadał hardo. Doskonale się uczył. Nauka jakby sama szła mu do głowy. Ale „Herr Schulze” niebardzo go lubił. Wyczuwał, że Teofil chętnieby go w łyżce wody utopił, ba nietylko jego, ale wszystkich Prusaków...

— Ja wiem — mawiał Teofil — że to grzech nienawidzić. Jabym cały świat kochał i wszystkich ludzi bez wyjątku na świecie, ale żeby te Prusaki poszły sobie z naszej ziemi. Niech rządzą u siebie.



Zdarzyło się, że pewnego dnia wygłaszał te teorie na podwórzu szkolnym. Akurat „Herr Schulze” przechodził koło nich (Teofil rozprawiał z grupą kolegów). Dosłyszał ostatnie dwa zdania i przyskoczył do Teofila. Wytargał go za uszy, a potem w obecności wszystkich uczniów, na podwórzu wymierzył mu dziesięć razów... Teofil ani pisnął. Ale od tego dnia zmienił się zupełnie. Jakgdyby śmiech nazawsze zamarł na jego ustach.

„Synku, co ci się stało?” zapytywał go ojciec. Matka dogadzała jedynekowi, podsuwała mu najlepsze kaski, obdaruwała łakociami. Teofil częściej przebywał w domu. Kogo mógł wypytywał o wieści z Warszawy. Coś kreślił w notatniku, często liczył pieniądze w skarbonce. Stał się oszczędny. Tylko, gdy nadszedł termin ślubu siostry, uprosił matkę, by poszła z nim do sklepu, do złotnika i kupił dla siostry piękną srebrną bransoletkę. „Niech ma po mnie pamiątkę”, tłumaczył się matce, gdy ta zdziwiła się jego hojnością.

— No i co? No i co? — zawołały Basia i Magda.

— Pewnego popołudnia w kościele lidzbarskim kościelny zapalił, osadzo-

nym na długim kiju stoczek woskowym, świecznik wieloramienny, zawieszony pośrodku sklepienia. Przed głównym ołtarzem ksiądz staruszek pobłogosławił młodej parze. Janka, Teofilkowa druchna w różowej sukience i w wianeczku stokrotek na blond główce, podała obrączki, organy zagrały „Veni Creator” i orszak weselny ruszył do domu.

— Bardzo lubię śluby! — wykrzyknęła Basia.

— W domu rodziców panny młodej ugiwały się stoły. Około ósmej miano zasiać do kolacji. Tymczasem obnoszono zakąski i młodzież szykowała się do tańca. Sprowadzono bowiem i orkiestrę, która wygrywała oberki, aż miło! A jak pięknie tańczyli państwo młodzi! A druchny! A nawet stara ciotka, uproszona przez wuję, hasała po posadzce.

W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył nieobecności Teofila. W powrotnej drodze, gdy szedł do domu ze swoją druchną, prowadząc ją pod rękę, umówili się, że w pierwszej czwórce zatańczą mazura. Już słyhać przygrywkę, a Teofilka nie widać.

— Proszę pani, czy tam niema mego družby w kuchni? — pyta zapłoniona



lanka, całując panią Chrapkiewiczową w rękę.

— A cóżby on tam robił? — roześmiała się pani — przecież już wszystkie smakołyki zabrane do pokojów.

Ale pomimo to matka poszła do kuchni poszukać swego jedynaka. Nie było go tam. Nigdzie go nie było. Walenty poszedł do piwnicy, Józia skoczyła do sąsiadów. Nigdzie Teofila ani śladu. Muzykanci wygrywali od ucha, tancerze wykrzykiwali „dzisiaj, dzisiaj, z życiem!” A serce matki Teofilka w takt tej skocznej muzyki zamierało ze strachu: „Gdzie syn? Gdzie syn?...”

Wreszcie matka pada w sypialni przed wizerunkiem Ukrzyżowanego. Patrzy, a tu w świetle migocącej lampki coś się bieli. Zrywa się z kolan. Chwyta

kopertę. Ledwie drżącymi palcami rozzerwać ją może: „Wybaczcie, Rodzice drodzy! W kraju powstanie. Idę walczyć za Polskę. Przysięgam to sobie, gdy Niemiec śmiał mnie dotknąć. W Warszawie Chłopiczki. Tam się udaję. Żegnajcie!...”

Ale nie doszedł Teofil Chrapkiewicz do Warszawy. Ojciec wielką wyznaczył nagrodę za odprowadzenie zbiega. — Po pięciu dniach przywieziono mu jedynaka. Ale poznał go jedynie po sakiewce, którą w matka wyhaftowała na imieniny. Tak był zmasakrowany. Zaraz za granicą, schwycili go moskale i na śmierć zakłóli...

Pokój zaległa cisza. Pierwsza Magdusia osuszyła oczy i powiedziała:

— Biedny, mały lidzbarski bohater!

PRZYGODA CHŁOPCA

Od kilku dni upał był niemiłosierny. Po okresie deszczów, trwających około pół roku, nastąpiły parne dni, duszne i wilgotne. Amazonka — królowa rzek Ameryki Południowej, powróciwszy do normalnego stanu po długotrwałych wylewach, wolno, majestatycznie toczy-

ła swe wody poprzez tajemnicze selvasy, czyli puszcze dziewicze.

Na brzegu, patrząc w górę rzeki, stał chłopiec. Miał na sobie zielony ubiór harcerza, a na nogach trepy skórzane. U stóp jego, w cichej zatoce kołysała się, poruszana falami, mała łódź indyj-



ska, „piroga”. Chłopiec niepokoił się. Od dłuższego już czasu stał na owym występie, czekając na współtowarzyszy podróży, a tymczasem z za zakrętu rzeki nie pokazywała się oczekiwana łódź.

Mijały godziny. Chłopiec nie wiedział, co czynić. Zapadał zmierzch, z różnych stron puszczy dochodziły pokrzykiwania ptaków i zwierząt.

Przeszedł kilkanaście kroków po wilgotnej ziemi i zaczął ciąć liany i gałęzie drzew na szałas. Praca szła mu nie-
sporo, bo gałęzie były świeże i nie łatwo było je ciąć, ale po dłuższych wysiłkach zebrał dostateczną ilość gałęzi, lian i traw, by zbudować wygodny, zaciszny szałas.

Z zeschniętych zaś traw i mchów ułożył sobie miękkie posłanie i, głodny, nie-
spokojny o jutro, zasnął prawie natychmiast, wyczerpany przygodami i strachem.

Spał, ale nie wiedział jak długo, bo gdy obudził się, było widno, słońce prażyło, jak wczoraj. Otworzył zaspane oczy i zobaczył obok siebie wielki kamień.

— Skąd się wziął ten kamień? — pomyślał ze zdziwieniem. Wstał z mchu i podsunął się ku, niewiadomo skąd przybytemu, kamieniowi. Jednakże w pewnej chwili spostrzegł, że kamień porusza się, chodzi, posuwa się, wprost

ucieka... I wtedy dopiero zobaczył, że to jest ogromny *żółw amerykański*. Przypomniał sobie podobną przygodę Robinsona Kruzo i — zadowolony z tak łatwego rozwiązania tajemnicy, wyszedł z szałasu...

W gąszczu, po drugiej stronie rzeki rozpoczął się ruch, jakieś zwierzęta niewidoczne z poza drzew śmigały śród lian, to ukazując się na chwilę ciekawym oczom chłopca, to znikając znów w gąszczu.

Chłopiec napił się wody, zjadł kilka smacznych owoców palmy i postanowił wracać do zakrętu rzeki w poszukiwaniu zaginionych towarzyszy podróży.

Domyślał się, że musiały ich spotkać jakaś przygoda, ale jaka? Trudno było zgadnąć: może natrafili na jaguary i musieli z nimi walczyć? Lecz było ich dziesięć osób, chyba potrafiliby obronić się przed napastnikami? Wiedział, że ekspedycja filmowa, do której należał wraz z ojcem, miała robić zdjęcia nad brzegami Amazonki. Cóż więc robić? Czy czekać, czy wracać w górę rzeki. Ostatecznie zdecydował się wrócić.

Odbił wolno od brzegu.

Woda Amazonki była ciepła. Ryby, których olbrzymia ilość połyskiwała w słońcu, podpływały do powierzchni rzeki i co chwila wyskakiwały na sekundę w powietrze, by później znów ginąć w głębi.

Chłopiec po dłuższych wysiłkach dotarł do zakrętu rzeki, ominął występ ziemny i zatrzymał się pod rozłożystymi drzewami, chylącemi się ku wodzie. Z tego ukrycia zobaczył kilku ciemnoskórych ludzi, uwijających się koło szałasów. Wpłynął łodzią w gęste trawy przybrzeżne i trzymając nóż w ręku, wyskoczył na brzeg.

Ludzie koło szałasów nie spostrzegli go, zajęci jakąś robotą.

Podpełznął na brzuchu na skraj obozowiska i z poza rozłożystego krzaka przyglądał się nieznajomym.

Byli to czerwonoskórzy — Indjanie. Poznał ich, bo takich samych widywał na barwnych obrazkach, pod którymi zazwyczaj było napisane: „Dziki Indja-



nin z dorzecza Amazonki". Słyszał o nich szereg straszliwych opowieści, że mordują, skalpują białych, a potem ich skórę z głowy wraz z włosami wieszają nad wejściami swych siedzib.

Wśród szałasów widział zaledwie czterech Indjan z tomahawkami, zatkniętymi przy barwnych pasach. Przechodził się bliżej pierwszego szałasu. Chciał się dowiedzieć, czy wewnątrz zamknięci są jego współtowarzysze podróżnicy. Ryzykując, że będzie odkryty, dopadł pierwszego szałasu i przekonawszy się, że nikogo niema, miał się cofnąć z powrotem w las, gdy nagle usłyszał głosy Indjan, zbliżających się w jego stronę. Nie namyślając się ani chwili wskoczył do pustego szałasu i przygotował się do stoczenia zażartej walki. Obiecał sobie, że nie pozwoli się wziąć do niewoli, że będzie walczył, uciekał, ale nie da się oskalpować.

Jednakże Indjanie przeszli obok, nie zatrzymując się. Chłopiec odetchnął głęboko, zatknął nóż za pas i przechodził się do następnego szałasu. Leżąc przy jednej z jego ścian, usłyszał głos ojca, mówiącego do kogoś drugiego, znajdującego się wewnątrz.

— Tatusiu — zawołał — czy jesteś związany?

Po chwilowej ciszy, wewnątrz szałasu, ktoś odpowiedział gorączkowo:

— Tak, jesteśmy związani!

Chłopiec, nie zważając na niebezpieczeństwo, zaczął rozrywać ścianę szałasu, by jak najprędzej dostać się do środka i uwolnić ojca.

Nagle — jakaś silna ręka uchwyciła go mocno za kołnierz i podniosła wysoko w górę, nóż wypadł mu z ręki. Wijąc się na wszystkie strony, starał się oswobodzić. Obejrzał się. Straszliwy, wielki, wytatuowany Indjanin potrząsał nim bezlitośnie, mówiąc do niego w nieznanym języku.

Nadbiegli inni Indjanie. Postawiono go na ziemi i oglądano z ciekawością. Któryś podniósł jego fiński nóż — podarunek od ojca — i włożył sobie za pas. Ktoś inny przyniósł sznur... Chłopiec otrząsnął się z przerażenia. Postanowił działać, rozumiał, że jeżeli nie on, to nikt nie uratuje jego ojca, ani reszty towarzyszy. Upatrzył chwilę nieuwagi groźnych Indjan i rzucił się w stronę czółna, pozostawionego w zaroślach. Biegł, jak mógł najszybciej. Zdawało mu się wprost, że frunie, że nogami ziemi nie dotyka. Słyszał za sobą pogoń i to mu dodawało sił. Biegł, biegł nie oglądając się.

Nagle, gdy już dopadał gąszczu, w którym stała piroga — świsnęła jedna, druga... piąta strzała... Przelatywały koł



niego z cienkim gwizdem i wpadały do wody. Chłopiec wskoczył do czółna, odepchnął je od brzegu i gorączkowo, zaciekle począł płynąć w dół rzeki. Ominął zakręt i stracił z oczu prześladowców. Domyślając się, że będzie ścigany, a wiedząc, że daleko im nie umknie, postanowił użyć fortelu. Energicznymi ruchami wiosel dopchnął łódkę do brzegu, wciągnął ją w gąszcz leśny i począł się przemykać z powrotem w stronę szalaśów. Z poza liści drzew i lian zobaczył, jak na rzece płynęły trzy pirogi w pogoni za nim.

Dumny był ze swego fortelu i odważnie dobrnął przez rozmiękłą ziemię do szalaśu, w którym leżał związany jego ojciec. Kilku Indjan, widocznie zaciekawionych pogonią, stało na brzegu rzeki, tyłem do niego. Wpełził szybko do wnętrza wigwamu i kilkoma silnymi cięciami noża, znalezionego na ziemi, poprzecinał więzy na rękach i nogach ojca i reszty współtowarzyszy podróży.

Gdy w chwilę później Indianie powrócili po nieudanej pogoni, zostali przywitani kulami uwolnionych więźniów.

Stefan Szempliński

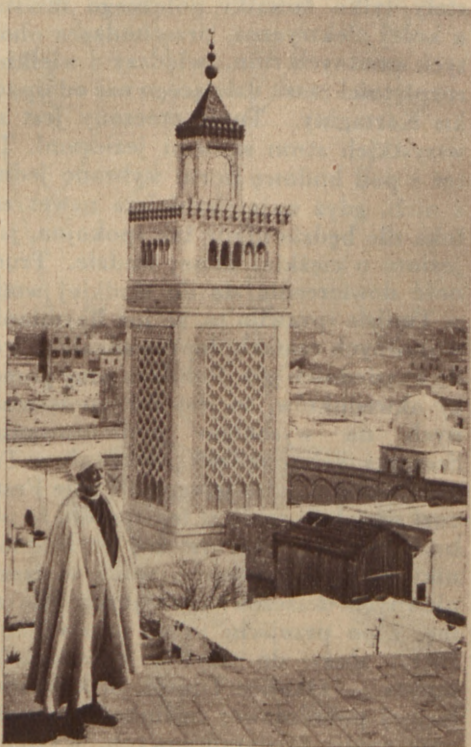
z bliska i z daleka

TUNIS — „BIAŁY PŁASZCZ PROROKA”

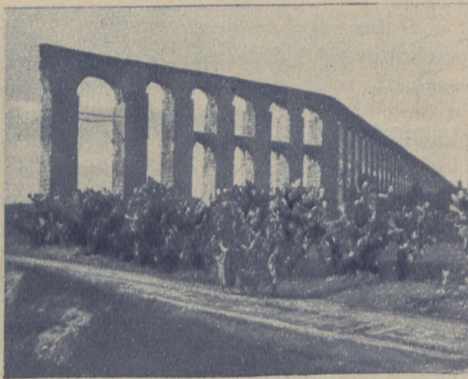
Tak nazwali Arabi swoje piękne miasto, położone na wybrzeżu morza Śródziemnego w północnej Afryce. Bo i naprawdę, zdaleka biel domów Tunisu, w jaskrawem oświetleniu słońca południowego, zlewa się w jedną całość, w jedną wielką plamę śnieżnej białości. I bieli się wśród wzgórz i bujnej roślinności wybrzeża afrykańskiego.

Arabi dziwnym kultem i czcią otaczają swe dawne siedziby i dziś, choć już tam pod mądrym zarządem Francji powstało nowe, zupełnie europejskie miasto, stary Tunis — „Biały płaszcz proroka” — pozostał wierny swej przeszłości. Nietknięty ręką przybysza z Europy, otoczony wysokimi murami, niechętnie i groźnie przyjmuje obcych. Po godzinie 9-ej wieczorem, nikt z dzielnicy nowej, zamieszkałej przez Europejczyków, nie odważy się wkroczyć w wąskie i ciemne zaułki starego Tunisu.

Francuzi poprzeprowadzali długie i szerokie ulice, pobudowali wysokie, nowoczesne domy, pozakładali tramwaje i koleje elektryczne, urządzili wygodny port na jeziorze, połączony długim kanałem z morzem. Ale nie zdołali przeła-



TUNIS



RUINY RZYMSKICH WODOCIĄGÓW

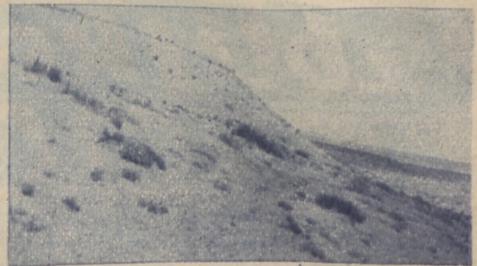
mać nieufności, jaką do nich ciągle jeszcze żywią prawi właściciele tego kraju — Arabi.

Tunis posiada swą bogatą przeszłość, bo na jego to ziemi, przed tysiącami lat, Fenicjanie założyli potężne, słynne na cały świat, miasto Kartaginę, które później dostało się pod panowanie Rzymian i wreszcie upadło zupełnie. Dziś pozostały tylko szczątki potężnego miasta, a kolej elektryczna, przechodząca obok tych smutnych ruin, świadczy o wielkiej rozpiętości czasu dzielącego nas od upadku Kartaginy. Tunis otoczony jest ze wszystkich stron słonecznymi jeziorami. To też i pod budowę portu wybrano jedno z nich, gdyż najzaciśniej nawet zatoka nie będzie nigdy tak spokojna, jak jezioro o ciężkiej słonej wodzie. Trudność dowierzenia się do słodkiej wody w Tunisie sprawiła to, że już Rzymianie w dawnych czasach doprowadzali tu wodę z sąsiednich gór. Robili to przy pomocy akweduktów, to jest rur, umieszczonych na wysokim podmurowaniu. Szczątki tych urządzeń przetrwały w Tunisie do dnia dzisiejszego. Obecnie Francuzi poradzieli sobie w ten sposób, że pobudowali ogromne cysterny czyli zbiorniki, do których ścieka woda w czasie ulewnych deszczów, trwających całą zimę, i po przejściu przez odpowiednie filtry, służy do użytku mieszkańców miasta. — Okolice Tunisu, to królestwo bujnej południowej roślinności, winnic, oraz gajów pomarańczowych. Występu-

jące gdzieś większe skupienia drzew, to lasy korkowe.

Ale im dalej odsuwać się będziemy od wybrzeża morskiego, tem coraz rzadszą roślinność zobaczymy, aż wreszcie ustąpi ona zupełnie lotnym piaskom największej na świecie pustyni Sahary. Słone jeziora, rozrzucone dość gęsto wśród pustyni, t. zw. „szotty”, w porze letniej wysychają prawie zupełnie. Sól, pozbawiona wody, tworzy grubą, białą powłokę na rozpalonym piasku.

Przytłaczające wrażenie sprawia bezmiar pustyni. Tu zaczyna się dopiero doceniać wartość lekceważonej przez nas



NA SKRAJU PUSTYNI

wody. Jest ona tutaj skarbem, za który płaci się w oazach cenę wyższą, niż u nas za wino. Po kilkugodzinnej podróży wśród smętnego krajobrazu pustyni, nieopisaną radość i zadowolenie daje widok bogatego bukietu zieleni oazy. Trochę brudnej mętnej wody sprawia to, że nieużyteczne napozór piaski porastają bujnym gąszczem palm daktylowych i drzew figowych. Kończy się on tam, gdzie dochodzi ostatnia kropla wody, doprowadzonej z mozołem przez człowieka.

Żar panujący letnią porą w oazach



OAZA

jest nie do zniesienia dla nieprzyzwyczajonego Europejczyka. Noc również wypoczynku nie daje, gdyż temperatura „chłodu nocnego” (33° Celsjusza) nie pozwala na zmrużenie oka ani na chwilę. A choć w oazach noce są tak parne,

to znów w szczerej pustyni panują w nocy dokuczliwe chłody, graniczące nieraz z przymrozkami. — Niezbadaną ilość niespodzianek i tajemnic posiada w swym wnętrzu „Czarny ląd” —
Jerzy Kostecki



WISIOREK – KWIAT

Ze złożonego napół cienkiego papieru od rysunków wyciąć pięć części na kwiat, według rys. 1 i trzy części na kielich kwiatu, według rys. 3. Gdy te części rozłożycie, będą wyglądały, jak na zmniejszonych odpowiednio rysunkach 2 i 4.

Wszystkie pięć części na kwiat okleicie z jednej strony (od środka, jak się części składa) błyszczącym papierem koloru żółtego, pomarańczowego, czerwonego lub niebieskiego.

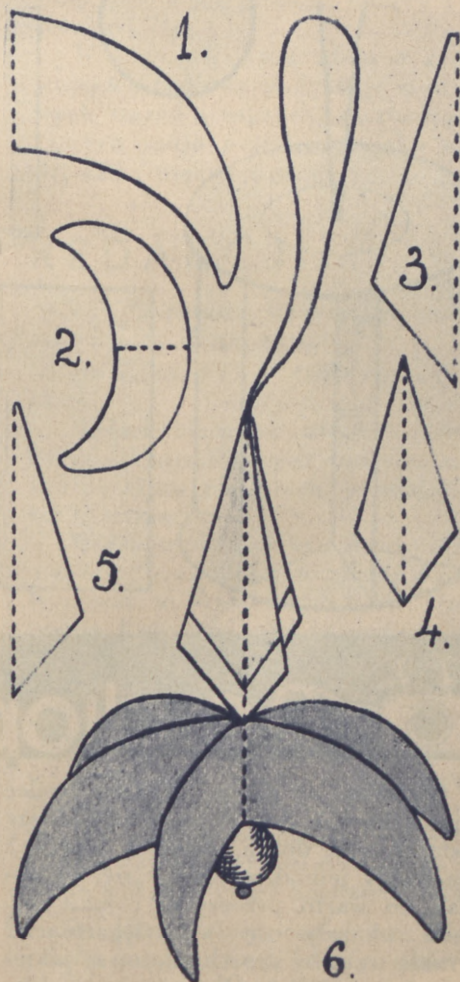
Trzy części na kielich okleicie też z jednej strony papierem koloru seledynowego, a potem nalepicie na nie części jaskrawo-zielone, wycięte według rys. 5. (Rysunek daje tu znów połowę formy). Części zielone zakleicie tak, aby od dołu pozostał widoczny pasek seledynowy. Wszystkie części załamacie napół, kolorową stroną do środka.

Oddzielnie trzeba skleić ze sobą pięć części na kwiat i trzy — na kielich. Sklejamy te części ze sobą połówkami dokoła: pierwszą z drugą, drugą z trzecią i t. d., wreszcie — piątą z pierwszą.

Nitkę na zawieszkę zakończymy koraliakiem i przeciągniemy przez kwiat w kielich jednocześnie z zaklejeniem ostatnich części. Gotowa zabawka wygląda jak na rys. 6.

Wcale nie jest taka trudna do wykonania, jak się to wydaje na pierwszy rzut oka.

M. Plucińska



LATARKA NA CHOINKĘ

Wyciąć z kolorowego kartonu 3 prostokąty (rys. B) 6 cm szer. i 7 wysokości. Zgiąć je według linii kreskowanej w połowie, kolorową stroną do środka, a skrzydełka b, kolorową stroną nawewnątrz.

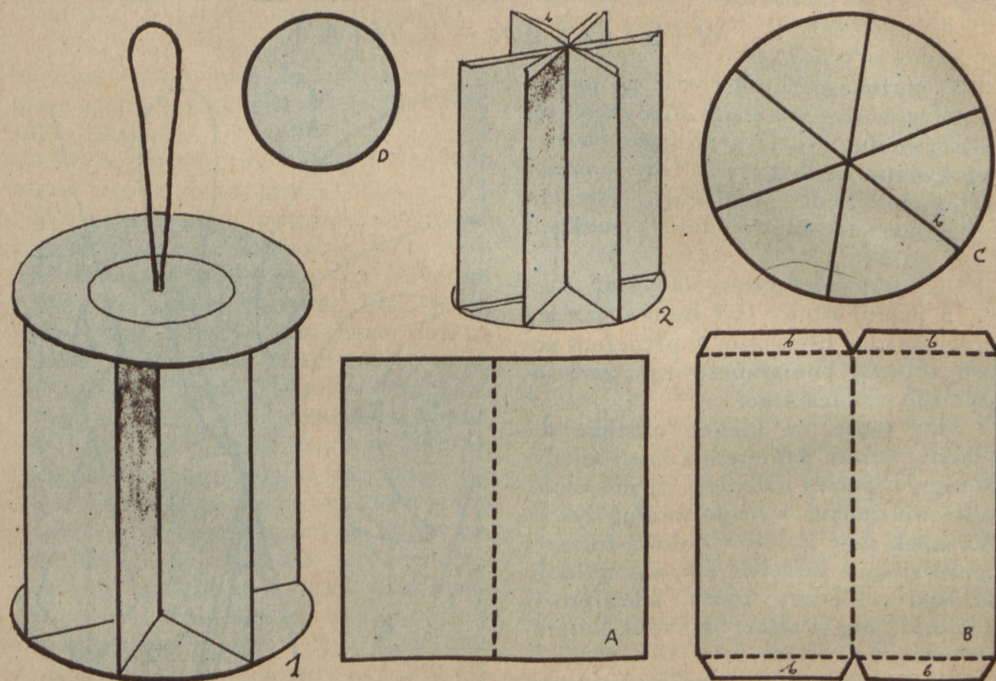
Wyciąć trzy kwadraty ze srebrnego papieru o boku 6 cm (rys. A) i zgiąć w połowie stroną srebrną do środka. Do każdego boku zgiętego kwadratu srebrnego przylepić kolorowe, białymi stronami do siebie, aż wyjdzie figura Nr. 2.

Dwa kółka z kartonu kolorowego, o średnicy 6 cm, przylepić do szkieletu latarki, kolorową stroną do środka, według linii b na rys. C do skrzydełek b. (rys. 2).

Jedno kółko srebrne, o średnicy 6 cm, rozciąć na 6 części i każdą z nich wkleić na podstawę igły latarki, tam, gdzie są srebrne kwadraty.

Kolorowym kółkiem o średnicy 3 cm przylepić zawieszkę.

B. K.



Gwiazdka za pasem! Trzeba myśleć o podarkach... A czyż może być miłszy podarek nad dobrą, ciekawą książkę? Nie każdy jednak orientuje się, co wybrać, co warto przeczytać i jakie nowości ukazały się w księgarniach? A może wartoby zaprenumerować jakieś pismo? tygodnik? Miewają z tem kło-

poty rodzice, ciocie, wujkowie i wy sami, gdy chcecie wybrać odpowiednią książkę dla siostry, braciszka lub kolegi. Z kłopotu tego wybawi radjośluchaczy audycja p. t. „Poczytajmy sobie”, w czasie której p. Henryk Ładosz omówi najnowsze wydawnictwa gwiazdkowe dla dzieci i młodzieży i przypomni

o dawnych, dobrze znanych starszemu pokoleniu, książkach, które, mimo że liczą sobie dużo lat życia — zawsze będą czytane przez młodzież z zapartym tchem! A zatem — rodzice, wujkowie, ciocie i wy, dzieci, otwórzcie głośniki w *poniedziałek, 10 grudnia o g. 18.45.*

A kto z Was słyszał o „Kasi — Zmarzłaczku”, której, choć włożyła na siebie najcieplejszy kożuszek i opatuliła się najgrubszą pierzyną, wciąż było zimno? Nie słyszeliście o niej? No, to posłuchajcie audycji dla młodszych dzieci we *wtorek, 11 grudnia o g. 12.45*, a dowiecie się, kiedy wreszcie temu Zmarzłuchowi zrobiło się gorąco. A potem, aby i Was rozgrzać i rozweselić przy radjodbiornikach, zaśpiewają i zatańczą dwa Michały! O tych to już słyszeliście:

„Tańcowały dwa Michały,
Jeden duży, drugi mały!”

We *środe, 12 grudnia o godz. 16.45* starsi z pośród Was niechaj posłuchają

pięknego opowiadania, które nadane będzie przez rozgłośnię katowicką: „O królu Puszczy i królu Człowieku”.

A we *czwartek, 13 grudnia o g. 12.10* wybierzcie się na wycieczkę radjową „po lesie i po wodzie”, t. zn. na Polesie... Przyjrzyjcie się Poleszukowi, który twarde, ciężkie życie pędzi wśród błot i moczarów — posłuchajcie jego smętnych, tęsknych, jak krajobraz poleski, piosenek! Po pogadance — *poranek muzyczny dla młodzieży.*

W *sobotę, 15 grudnia o g. 16.30* — piękne słuchowisko historyczne p. t. „Tryumf Zawiszy Czarnego”. Znacie wspaniałą postać tego rycerza, którego imię stało się symbolem honoru i cnót żołnierskich.

W *niedziele, 16 grudnia o g. 16.45* wujaszek radjowy podyktuje szereg nowych szarad i zagadek, za rozwiązanie których radio przeznaczą, jako nagrody, kilka pięknych książek.

LISTY OD REDAKCJI

Do Klasy VI szkoły powsz. Nr. 1 w Węgrowie.

Pytacie o największą instytucję oszczędnościową w Polsce, więc Wam powiem, że P. K. O. wypożycza pieniądze instytucjom, zrzeszeniom, a także Państwu. Pożyczki są zużywane na cele gospodarcze, a kapitał włożony w te przedsiębiorstwa daje dochód, który częściowo jest używany na opłacenie procentów. Napiszcie mi, jakie macie oszczędności w klasie i w całej szkole.

Do Klasy V-tej Szk. Powsz. im. St. Konarskiego w Nowym Sączu.

Dobry jest Wasz pomysł oszczędzania, jednak nie da się urzeczywistnić.

Fabryki nie chcą kupować pudełek od pasty, zapalek i t. p. z następujących przyczyn:

po pierwsze — opakowanie wyrabiane maszynowo kosztuje bardzo tanio i nie opląci się starego kupować.

po drugie — inne firmy oraz prywatni przedsiębiorcy mogliby zbierać te pu-

dełka i napełniać lichym towarem, co szkodziłoby danej firmie.

Do Klasy VII w Łągiewnikach Śląskich.

Bądźcie cierpliwe, często odpowiedź ze szkół zagranicznych przychodzi nawet po kilku miesiącach, — może i Wy też otrzymacie.

Wobec tego, że chcecie dużo wiedzieć o granicy wschodniej, napiszcie do szkoły powsz. w Prozorokach, pow. Dzisna, poczta Prozoroki. W liście powołajcie się na Redakcję „Płomyka”.

Do Heli Szajewskiej, ucz. kl. VII w Puchaczowie.

Takie macie prace i organizacje w szkole, jak dorośli ludzie. Łatwiej Wam będzie później radzić sobie w życiu. Hela niech się nie martwi, — już niedługo święta, wyjazd do Załucza i radosne wakacje wśród kochanej rodziny.

Do Maryli Hoszowskiej, ucz. kl. VI szkoły im. Królowej Jadwigi w Stryju.

Twój pomysł nie da się tak łatwo

wykonać, jak to sobie wyobrażasz. Po pierwsze jest wielu biednych, którzy nawet kilku groszy dać nie mogą, następnie podany przez Ciebie sposób organizowania zbiórki w całej Polsce jest niepraktyczny, gdyż pochłonąłby ogromną ilość czasu i pieniędzy.

A ktoby płacił procenty, o których wspominasz? Przecież zebrane tysiące przeznaczasz na budowę okrętu i samolotu.

Wacław Goronowski, uczeń kl. V chce korespondować i wymieniać znaczki z kolegą, który mieszka w Tatrach. Adres Wacka: Kościerzyna, Szydlice 3.

Do Leokadii Musiałówny, uczennicy kl. VI-b w Dąbrowie.

Z przyjemnością przeczytałem Twój list, w którym piszesz o korzyściach, jakie osiągasz z każdego numeru Płomyka. Pisz do mnie częściej, korespondować będę z Tobą chętnie.

O F I A R Y

Na powodzian: Szk. Powsz. w Krężnej — 3 zł. 54 gr.; Koło Czerw. Krzyża w Gwatach — 4 zł.; Samorząd V kl. Szk. Powsz. w Poddebicach — 4 zł. 50 gr.; Szk. Powsz. Nr. 46 w Warszawie — 10 zł.; Szkoła Powsz. Nr. 29 w Krakowie — 21 zł. 20 gr.; VII kl. Szk. Powsz. w Boleszowcach — 27 zł. 28 gr.; VI i VII kl. Szk. Powsz. w Starem Siole — 3 zł. 2 kl. Szk. Powsz. w Matyczach — 5 zł.; Szk. Powsz. w Stórczku k/Luk. — 16 zł. 06 gr.; Szkoła Ćwiczeń w Świsłoczy — 3 zł. 29 gr.; p. Al. Półtoracki — 4 zł.; IV kl. Szk. Powsz. w Gdeszynie — 2 zł. 15 gr.; Szk. Powsz. w Kozłowszczyźnie — 27 zł.; p. H. i R. Białowiejski — 2 zł. 10 gr.; kl. V Szk. Powsz. w Radogoszczy — 2 zł. 20 gr.; III kl. Szk. Powsz. w Burzcu — 1 zł. 79 gr.; Sz. Żeńska Nr. 2 w Borysławiu — 17 zł.; kl. V-a i V-b Szk. Powsz. Żeńska w Miechowie — 12 zł.; Szk. Powsz. w Toliczewie — 2 zł. 50 gr.; kl. III Pryw. Szk. Powsz. „Zespół” w Warszawie — 3 zł. 10 gr.; kl. V Szk. Powsz. w Prokocinie — 2 zł. 79 gr.; kl. IV Szk. Powsz. w Szajnie — 10 zł.; p. Niemczewscy z Grodzca Śląskiego — 4 zł.

Pani Kaliska — z Warszawy złożyła w darze ubranie.

Dzieci kl. VI Szk. Powsz. p. Marji Taniewskiej ofiarowały: 3 swetry, 3 halki, 1 ubranko, 1 bluzkę, 27 książek, zeszyt roczną „Gazetkę Szkolną” i zł. 3 gr. 20.

Na samolot Bajana: Szkoła Powsz. w Hlubinie — 15 zł. 90 gr.; Ucz. III kl. Szkoły Powsz. w Celestynowie — 16 zł.

65 gr.; Szkoła Powsz. w Brześciu n/B. — 5 zł.; Szkoła Powsz. w Sługach — 2 zł.; Szk. Powsz. w Jaszczni — 3 zł. 40 gr.; kl. VI i VII Szk. Powsz. w Wotowicach — 4 zł. 50 gr.; Spółdz. Ucz. Szk. Powsz. Nr. 3 w Żelechowie — 20 zł.; VI i VII kl. Szk. Powsz. w Jedwabnem — 5 zł.; Szk. Powsz. Nr. 75 w Łodzi — 24 zł.; Szk. Pryw. w Borysławiu — 45 zł.; V i V Ikl. Szk. Powsz. w Koletnikach — 3 zł. 52 gr.; Szk. Powsz. w Berezie Kartuskiej — 5 zł. 25 gr.

Na budowę szkół: IV kl. i Nauczyc. Cetty — 7 zł. 09 gr.

Na L. O. P. P.: Szkoła Powsz. w Zuzeli — 8 zł.

Na Czerwony Krzyż: p. St. Karpowiczówna — 1 zł. 30 gr.; Szk. Powsz. w Jadowie — 1 zł. 70 gr.

Na konserwację grobów poległych pod Radzyminem: klasa Vb Szk. Powsz. Nr. 50 w Warszawie — 3 zł. 50 gr.

Na biedne dzieci: p. H. Radwanowa — 14 zł. 35 gr.; Sławek Supnorowski z Torunia — 4 zł. 50 gr.; Kasa Samopomoc Ogniska Związku Nauczycielstwa P. w Komarówce — 7 zł. 29 gr.; Renia Skibówna — 2 zł.

Dla chorego Stasia: p. Z. C. — 5 zł.

Na okręt „Dar Szkoły”: Szkoła w Łajszewie Starym — 5 zł.

Na Fundusz Szkolnictwa Polskiego zagranicą: klasa VIIb Szkoły Powszechnej w Świętochowicach — 2 zł.

Na kolonje letnie dla dzieci z Niemiec: Spółdzielnia Szkoły Słowackiego w Stryju — 11 zł.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

1. REBUS



2. REBUS



3. ZAGADKA

Bierzesz — krzyczy, kładziesz — krzyczy. S. V.

4. ZAGADKA

(nadesłał Leoś Szymczak)
Stoi przy drodze, ręce rozkłada,
o nic nie pyta, lecz odpowiada.

5. ZAGADKA

Od kąta do kąta
wloką się chomąta.

6. SZARADA

Pierwsze — weźmiesz od gruszki,
Pół doby — oto drugie.
Całość — miesiąc, w którym
Noce są bardzo długie.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 16-GO:

1. Rebus: Ostra Brama. 2. Układanka: Wilno. 3. Zagadka: przetak.

4. Lot samolotu: Do czasu spotkania samoloty pasażerskie leciały — 2³/₄ godziny. Tyleż czasu leciał i samolot myśliwski, wobec czego przeleciał 825 km.

WARUNKI PRENUMERATY „PŁOMYCZKA” I „PŁOMYKA” NA ROK SZKOLNY 1934/35:

Prenumerata zbiorowa dla szkół przy prenumeracie przynajmniej 5 egzemplarzy pisemek, np.: 3 egzemplarze „Płomyczka” i 2 egzemplarze „Płomyka”:
„PŁOMYCZEK” wraz z „MAŁYM PŁOMYCZKIEM” za 1 egz. miesięcznie (4 kolejne numery) 60 gr.
„PŁOMYK” za 1 egzempl. miesięcznie (4 kolejne numery) 84 gr.
Przy prenumeracie od 5 do 14 egz. pisemek dodajemy bezpłatnie co tydzień „Szkołną Gazetkę Ścienną”.

Przy prenumeracie od 15 egz. pisemek wżwzy dodajemy bezpłatnie szkole (klasie) co tydzień 2 egz. „Szkołnej Gazetki Ściennej” i pozatem dla całej szkoły 1 egz. „Ilustracji Szkolnej” co miesiąc.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 GR.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, WYBRZ. KOŚCIUSZKOWSKIE 35. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 5.38-26. Redaktor przyjmuje codziennie od godz. 1 do 3. Administracja czynna codzień od godz. 9 do 3.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej R. DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.



Z TUNISU